

KAMENIA

LUBLIN

15.II.1963

Nr 3 (265)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

ROZEZNANIE

WALDEMAR BABINICZ

OSTATNIE plenum ZG ZMW poświęcone było zagadnieniom kultury.

Posiłki spożywano w PKiN w „Trojce”. Przygrywała orkiestra. Na początek poczęstowała nas „Paradą Krasnoludków” Katalbaya. Powiedziałem do siedzących obok bardzo młodziutkich koleżanek: „Grałem to kiedyś na trąbce, bodaj w piątej klasie gimnazjalnej”. Spojrzały na mnie przeciągle, zapytały obcesowo: „A pan urodził się już w tym wieku, czy w tamtym? Bo wszystko tu jakieś stare: i plenum, i nazwa restauracji, i te posiłki...”

Zaprotestowałem. Powiedziałem, że nie chcę mówić o polityce, że to była uwaga raczej natury estetycznej. Mruknęły coś niechętnie, odsunęły się demonstracyjnie, bąkały o starszych panach, którzy jak ognia wystrzegają się polityki.

Nikt nigdy nie postawił mi takiego zarzutu. Coś takiego!

Więc jaka jest ta nasza młodzież? Czy upolityczniona?

Pod koniec ubiegłego roku przeprowadziłem ankietę wśród stu piętnastu młodych ludzi, w wieku od 17—19 lat, wyłącznie szeregowych członków ZMW, nawet nie uczestników żadnych kursów. Pytania były stereotypowe:

— Najważniejsze wydarzenia w świecie, w kraju, w moim życiu osobistym w roku 1962.

O ściąganiu nie było mowy.

Wszyscy bez wyjątku odpowiedzieli o Kubie i obu kosmonautach radzieckich. To były, zdaniem 115 osób, najważniejsze wydarzenia w świecie w ub. roku. Jeśli chodzi o wydarzenia w kraju, zdania nie były już tak jednolite. Około 30 proc. (najwięcej) twierdziło, że niepowetowaną stratą była śmierć Broniewskiego i Kruczkowskiego, która przysłała wszystkie inne wydarzenia w kraju. Pozostałe odpowiedzi na to pytanie ograniczały się w większości do spraw lokalnych, rzadko wykraczających poza granice powiatu. Np. budowa odcinka drogi, nieurodzaje, pożary, nowy przystanek PKS, zakup sprzętu czy maszyn przez Kółko Rolnicze, instalacja telewizoru, telefonu, trudności gospodarcze, przyjazd ciekawych ludzi, oddanie szkoły do użytku, krzywdzące wymiary podatków etc.

(Cytuję wedle hierarchii ustalonej przez uczestników ankiety).

W życiu osobistym na czoło wysuwają się konflikty natury rodzinnej (starzy — młodzi), spory o ziemię, sukcesy i zawody osobiste; tym ostatnim zwłaszcza poświęcono wiele miejsca. Przeważnie jednak i tu wypowiedzi były schematyczne: rozczarowałem się do dziewcząt (do chłopców), nauczyłem się innymi oczami patrzeć na dziewczęta (na chłopców), teraz wiem, na czym polega prawdziwa miłość itp., itd.

Kiedy po podsumowaniu wyników ankiety prowadziliśmy w tym samym gronie nieskrępowaną dyskusję i padło

(Dokończenie na str. 7)



Foto Andrzeja Polakowskiego
NAŁĘCZÓW W ZIMIE — CHATA — MUZEUM ZEROMSKIEGO

STUDENT — INWESTYCJA KOSZTOWNA JERZY DOSTATNI

CHOCIAŻ z papierem wciąż u nas kručzo, a i jakoś olówek nie jest najlepsza, to przecież od kilku już lat konsekwentnie uczymy się żyć w coraz większej zgodzie z tym, co zwykło się określać powiedzeniem „z olówkiem w ręku”. Nie tylko prywatnie, ale i we wszystkich dziedzinach naszego życia zbiorowego. Chyba tylko sprawa wyższych uczelni, a właściwie kosztu kształcenia jednego studenta, była dotychczas trochę wstydliwie pomijana. Gdy jakieś przedsiębiorstwo nie wykonało planu, gdy produkcja eksportowa szła na półki z bublami, nawet gdy wręczaliśmy komuś przydział mieszkaniowy — liczyliśmy, ile to kosztuje. Tylko jakoś nikt się nie przejmował tym, że student oblał rok. Oczywiście profesor czy asystent martwili się, najbliższą rodzinę coś to kosztowało — ale ostatecznie wszystko odbywało się pod znakiem „Rzeczpospolita zapłaci”. Płaciła i płaci. Ale ile?

Dzięki uprzejmości władz uczelnianych otrzymałem dużo materiału dotyczącego efektywności i kosztów studiów na lubelskim Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. I chociaż niżej będzie trochę cyfr — myślę, że warto je przeczytać. Sprawa bowiem na naszym terenie nie była jeszcze nigdy poruszana, przynajmniej publicznie. Tu mała, ale ważna uwaga. Podane niżej sumy nie obejmują kosztów

inwestycji budowlanych, które właśnie w wypadku UMCS wynoszą już kilkaset milionów złotych. Inwestycje te pomnażają wprawdzie majątek trwały państwa, ale przecież przy uwzględnieniu normalnej amortyzacji wcale niebagatelną sumą obciążają każdy rocznik akademicki. Nie wliczyłem tu również wydatków różnych organizacji akademickich na obozy, wycieczki zagraniczne, działalność naukowo-kulturalną itp. Zebraliśmy się również chyba ponad milion rocznie z różnicy pomiędzy faktycznym kosztem przejazdu środkami komunikacji miejskiej a ceną studentckiego abonamentu. A zniżki na kolejach, w kinach i teatrach, ceny wielu podręczników kalkulowanych poniżej kosztów własnych?

Pozostaliśmy jednak przy tzw. wydatkach bezpośrednich, obejmujących wynagrodzenie sił naukowych, utrzymanie pomieszczeń uczelni, koszty pomocy naukowych, stypendia, opał, elektryczność itp. Otóż tegoroczny budżet UMCS wynosi 51,5 mln zł. Ponieważ uczelnia będzie miała na koniec roku około 2 tysięcy studentów, nie trzeba kończyć wydziału matematycznego, by wyliczyć, że co miesiąc niżej będzie studentki i do każdego studenta państwo dopłaca 2.140 zł! I to biorąc pod uwagę pełny rok kalendarzowy, a nie akademicki, nie licząc zaś owych niebagatelnych dodatków, o których było wyżej. Po ilu latach

pracy zawodowej pan magister, mając w kieszeni dyplom wyższej uczelni, potrafi rzetelną pracą osiągnąć taki zarobek? Ile będzie musiał — już sam — pokonać po drodze trudności, najeść się przykrości, przełamać przeszkód, by wykazać się wynikami pracy? Jakże tu narzekać na dolę studentek, gdy hojna Rzeczpospolita miesiąc w miesiąc inwestuje w każdego studenta tak pokazałą sumę? W całym naszym województwie w ciągu 25 lat Polski Ludowej chyba tylko FSC i gigant chemii w Puławach będą bardziej kosztownymi inwestycjami.

Od każdej inwestycji wymagamy rentowności. Najczęściej po prostu finansowej, niekiedy jednak i społecznej. Student to wprawdzie też człowiek, jak twierdzi mój pewien młody przyjaciel, nie zmienia to jednak faktu, iż państwo traktuje go jako inwestycję, która musi być rentowna w złotych. I to w dwóch etapach — zarówno w czasie studiów, jak i po ich ukończeniu. Zajmę się wprawdzie tylko pierwszą stroną, ale przy okazji warto odparować ewentualny zarzut w drugiej sprawie: nawet jak nie ukończę studiów, to i tak będę gdzieś pracował. No tak, ale fundując sobie tak kosztowną inwestycję jak student, państwo — społeczeństwo liczy na pracownika z pełnymi, wyższymi kwalifikacjami, zdolnego do sprawowania

(Dokończenie na str. 9)

CZWÓRPOROZUMIENIE Z PERSPEKTYWY RZESZOWA

W PAŹDZIERNIKU upłynął rok od daty podpisania w Lublinie porozumienia o współpracy kulturalnej czterech wschodnich województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego. Inicjatorem porozumienia, wydziałem kultury wojewódzkich rad narodowych, choździło o wzajemne zbliżenie i zacieśnienie kontaktów kulturalnych jednostek administracyjnych o bardzo zbliżonej do siebie strukturze społeczno-gospodarczej. Rola centralnego ośrodka przypadła największemu miastu wschodniej Polski, Lublinowi. Posiada on niezaprzeczane atuty jak centralne położenie w stosunku do wszystkich partnerów czy najliczniejsze kadry naukowe, skupione w 5 wyższych uczelniach.

Jaki jest bilans rocznej współpracy „czwórki”, bilans ukazany z perspektywy Rzeszowa? Czy „czwórporozumienie” zdało egzamin, czy odpowiada rzeczywistym potrzebom wszystkich zainteresowanych?

Na pytania te udzielił odpowiedzi sekretarz Komisji Kultury KW PZPR, mgr Henryk Pasławski i kierownik Wydziału Kultury WRN Leonard Czepik.

Czepik: Chciałbym na wstępie przypomnieć, że współpraca nasza z Lublinem i Kielcami wyprzedziła znacznie samą datę porozumienia: teatry lubelski i kielecki jeszcze w czerwcu 1961 roku wzięły udział w I Rzeszowskich spotkaniach teatralnych. Co zrodziło tę współpracę? W ramach decentralizacji województwa otrzymywały większe uprawnienia, przejęliśmy teatry, estrady, orkiestry symfoniczne. Nowe uprawnienia cieszyły nas, przysparzały jednak sporo kłopotów, pozostawiono nas samych z dużymi zadaniami, ale bez potrzebnych doświadczeń. Chcieliśmy więc spotykać się z sąsiadami, wymieniać doświadczenia, chcieliśmy dorównać temu, co się działo w kraju.

Jak to wyglądało w praktyce 1962 roku? W styczniu Teatr im. Osterwy przybył do Rzeszowa ze sztuką J. M. Simmisa „Kolega”, a teatr rzeszowski do Lublina z „Alkadem z Zalamei” Calderona. W czerwcu teatr lubelski wzięł również udział w spotkaniach teatralnych prezentując: „Montserrat” Roblèsa, „Uciekła mi przepióreczka” Zeromskiego i „Powrót Przełęckiego” Zawieyskiego.

Wzajemne wizyty złożyły sobie lubelski i rzeszowski Teatry Lalki i Aktora. W marcu gościła w Rzeszowie lubelska Orkiestra Symfoniczna wraz z chórem a w czerwcu wystąpiła z koncertem Orkiestra Symfoniczna z Kielc. Państwowa Orkiestra Symfoniczna z Rzeszowa wyjechała z koncertami do Lublina w kwietniu, a w maju do Kielc.

Wymiany programów dokonały także przedsiębiorstwa estradowe z Lublina i Rzeszowa. Nawiazano kontakty i rozwinęła się współpraca pomiędzy bibliotekami pedagogicznymi i publicznymi. M. in. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna zainicjowała wymianę publikacji regionalnych. Inicjatywa ta nie została podjęta przez inne biblioteki. Pracownicy WIMBP z Rzeszowa wzięli udział w seminarium w Białymstoku, a przedstawiciele czterech województw w konferencji, zorganizowanej przez rzeszowską bibliotekę w Sanoku.

Pasławski: W zasadzie należałoby stwierdzić, że prawidłowo podeszły do spraw współpracy placówki oświatowe i artystyczne, słabiej nato-

miast wydziały kultury. Mam tu na uwadze potrzebę wymiany doświadczeń w sprawach organizacji placówek, stylu pracy administracji, a także problemy koordynacji poczynań kulturalnych. Najintensywniej rozwija się współpraca nasza z Lublinem, dobrze z Kielcami, a najslabiej z Białymstokiem (odległość).

Czepik: Warto tu również przypomnieć, że od dawna łączy nas bliska współpraca z Krakowem, która realizowana jest bez jakiegos formalnego porozumienia.

Pasławski: Na marginesie tej próby oceny dotychczasowych form współpracy należałoby sformułować jakieś postulaty dotyczące przyszłych kontaktów. Na plan pierwszy wysuwa się generalny problem — jest nim nie rozwiązana dotychczas sprawa koordynacji polityki kulturalnej czterech województw. Chodzi tu zwłaszcza o kierowanie przez wydziały kultury ruchem amatorskim, o sprawy tak zwanych eksperymentów itp.

Czepik: W ubiegłym roku podejmowano wspólnie kilka problemów. Otrzymała się narada towarzystw społeczno-kulturalnych z czterech województw. W grudniu po raz pierwszy w skali krajowej omawiano problemy aktywizacji młodej inteligencji, jej roli w środowiskach wiejskich i małomiasteczkowych. W naradzie tej wzięli udział przedstawiciele resortu kultury i oświaty. Była to próba wyjścia naprzeciw dążeniom młodej inteligencji, przyciągnięcia jej do realizacji upowszechniania kultury.

Wracając zaś do postulatów — należałoby sobie życzyć, by przystąpiły do współpracy organizacje młodzieżowe, związki twórcze, np. plastycy, a także inne organizacje społeczne w miarę swych możliwości i potrzeb.

Na zakończenie o perspektywach współpracy. Najpierw o zasadniczych imprezach kulturalnych: teatry „czwórki” wezmą udział w rzeszowskich spotkaniach teatralnych (czerwiec 1963), szkoły muzyczne w dniach muzyki kameralnej w Łańcucie (czerwiec), zespoły lalkowe w wiosnie teatrów lalkowych w Lublinie (maj).

Zacieśnimy współpracę pomiędzy wydziałami kultury, dokonywać będziemy wymiany doświadczeń, organizować wspólne kursy. Wydziały kultury wspólnie z placówkami kulturalno-oświatowymi opracują wspólny program obchodów 20-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Pasławski: Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze inny aspekt porozumienia. Chodzi mi mianowicie o wzajemne uzupełnienie się poszczególnych partnerów. Zespolenie środków powinno pozwolić na sprawniejszą realizację zadań, na zmniejszenie kosztów niektórych przedsięwzięć.

I jeszcze dwa zdania o „Kamieniu”. Będziemy nadal brałi udział w kosztach wydawania tego pisma. Z dotychczasowej współpracy jesteśmy zadowoleni, chociaż chcielibyśmy widzieć więcej materiałów z Rzeszowszczyzny. Ale to już jest sprawa żywego włączenia się dziennikarzy i działaczy naszego terenu do współdziałania z „Kamieniem”. „Kamień” powinna być platforma dla konfrontacji doświadczeń, powinna ukazywać najbardziej wartościowe osiągnięcia oświatowe, artystyczne, literackie.

Zanotował
Zbigniew Wawszczak

Pokołenie nasze, to znaczy Polaków obecnie żyjących i działających, spotkał wielki zaszczyt obchodów tyśiącletniej rocznicy powstania naszego państwa. Rewolucyjne zmiany ustrojowe, społeczne i ekonomiczne, olbrzymi przeskok gospodarczy i dwudziestoletnia blisko stabilizacja tych przemian, pogłębiają znaczenie tego święta. Ale nie żyjemy tylko dniami świątecznym i naszym obowiązkiem jest obecnie pełna realizacja Narodowego Planu Gospodarczego — czynnika gwarantującego dalszą stabilizację gospodarczą, a co za tym idzie — pomyślną realizację postulatów budownictwa ustroju socjalistycznego.

Do najciekawszych z proponowanych przedsięwzięć kulturalnych i naukowych w obchodach Roku Ziemi Białostockiej zaliczyć trzeba: sesję popularno-naukową ku uczczeniu bractwa broni partyzantów polskich i dziecięcych w latach 1941—1944 oraz sesję popularno-naukową poświęconą życiu i działalności Marii Konopnickiej. Projektuje się połączenie tematyki sesji z omówieniem kontaktów Konopnickiej z Orzeszkową i zaproszenie do udziału w uroczystościach przedstawicieli pracowników naukowych z Muzeum im. E. Orzeszkowej w Grodnie. W tym samym czasie mieszkańcy Suwałk, miasta, w którym urodziła

Rok Ziemi Białostockiej

ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

Przemiany, o których mowa wyżej, szczególnie jaskrawo występują na terenie Białostoczczyzny, podobnie zresztą jak na terenie innych regionów dawnej Polski B. Tutaj bowiem większa jest skala przemian tak gospodarczych (industrializacja całego województwa), jak społecznych (przekształcenia socjalne na wsi i w mieście), niż w innych rejonach kraju, np. na Śląsku czy w Wielkopolsce.

Wobec tego szczególne znaczenie dla każdego mieszkańca Białostoczczyzny ma fakt, iż staraniem Prezydium Komitetu Frontu Jedności Narodu i Prezydium WRN, rok 1963 obchodzony jest jako Rok Ziemi Białostockiej.

Za naczelne postulaty tych obchodów uznano:

— Mobilizację społeczeństwa do pełnej realizacji zadań nakreślonych w Narodowym Planie Gospodarczym.

— Mobilizację społeczeństwa Białostoczczyzny do podejmowania czynów społecznych.

— Zapoznanie z chlubnymi dziejami Państwa Polskiego, z postępowymi i rewolucyjnymi tradycjami Ziemi Białostockiej.

— Dalszy rozwój oświaty, kultury, sportu i turystyki.

Program obchodów Roku Ziemi Białostockiej nie został jeszcze definitywnie zatwierdzony w chwili, gdy piszę te słowa. Zapoznałem się jedynie z szkieletowym projektem. Ale i z niego już widać, że obchody zapowiadają się bogato. Tak pod względem realnych korzyści materialnych dla naszego województwa — specjalne dotacje dla niektórych powiatów, budowa nowych szkół pomników Tyśiąclecia, osiedli, obiektów sportowych, — jak i natężenia działalności kulturalno-oświatowej.

Szczególną wagę przywiązuje się do podejmowania przez Białostoczian (w sensie mieszkańców całego województwa) czynów społecznych. Ta akcja ma olbrzymie znaczenie dla przekształcania psychicznego jednostek w świadomych budowniczych nowej rzeczywistości. Lecz również efekty materialne tych inicjatyw społecznych są nie do pogardzenia. Dzięki nim ma powstać w naszym województwie czternaście nowych boisk sportowych, ośrodek wypoczynku świątecznego w Wasilkowie k. Białegostoku, sieć nowych sklepów wiejskich, szereg nowych klubów-kawiarni (o udanym eksperymencie Związku Młodzieży Wiejskiej pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Kamienia”). Organizatorami czynów społecznych są gromadzkie i miejskie Komitety Frontu Jedności Narodu, komitety blokowe i rady narodowe.

Konopnicka, otrzymają pomnik piśmiennicę i bibliotekę jej imienia.

Równie atrakcyjnie zapowiadają się pierwsze w dziejach miasta Dni Białegostoku, w terminie 22—27 lipca. X rocznica PKWN połączona zostanie z dwudziestą rocznicą wyzwolenia miasta od okupacji hitlerowskiej (27.VI). Na wiele imprez oświatowych, artystycznych i sportowych w owym czasie przybędą przedstawiciele województw współpracujących — lubelskiego, kieleckiego, rzeszowskiego i opolskiego. Nie tylko Białystek, ale też inne miasta i osiedla w województwie, będą obchodzić uroczystości swe święta. „Dni swoje będą miały: Augustów, Łomża i Elk, a rocznice swego powstania święcić będą Radziwiłłów i Supraśl (500-lecie), Rajgród i Sejny (400-lecie).

Niejsko rewanżowo obchodzone będą Dni Białegostoku w Opolu (w ub. r. myśmy mieli Dni Opola). Dobrze rozwijająca się współpraca kulturalna Ziemi Opolskiej i Białostockiej pod budowaną zostanie w bieżącym roku szeregiem ciekawych imprez. A w Opolanie będą mogli m.in. zobaczyć wystawę tkiactwa sokólskiego, zesp. regionalne — Kurpie Zielone i Suwalszczyznę, dokonana zostanie wymiana artykułów prasowych i audycji radiowych, filmów amatorskich, materiałów archiwalnych oraz zespołów teatralnych. W Opolu goście również będą białostoccy literaci, rewanżując się za ubiegłoroczną wizytę pisarzy śląskich.

Jak już się rzekło, są to w chwili obecnej jedynie projekty ważniejsze, tylko przedsięwzięcia związane z Rokiem Ziemi Białostockiej oraz Tyśiącleciem Państwa Polskiego. Pesymizm może na to powiedzieć, że jedyną skłótką wiosny nie czyni, że jedyną złą, nawet całoroczny zryw nie pasadza jeszcze o kwestii awansu kulturalnego. Tak, ale dla nas samych może być bardzo ważną jest porównanie nie swych możliwości w różnych dziedzinach życia z istniejącą sytuacją, z podjęciem na co nas, przy maksymalnym wysiłku, stać. Tę wartość obchodów Roku Ziemi Białostockiej wysunęli na plan pierwszy.

Nie bez znaczenia będzie też propagandowa strona tych obchodów. Wszystkie ośrodki kulturalne w kraju będą mogły zapoznać się ze specyficzną problematyką naszego regionu, jego bolączkami i osiągnięciami. Powstanie to niektórych dziennikarzy od zbyt pochopnych sądów, komentarzy, czy krytyk prasowych, których nie skąpił Białostoczczyznę ostatnich latach.

Kronika kulturalna 4 województw

BIAŁYSTOK

ORKIESTRA SYMFONICZNA rozpoczęła tegoroczny sezon dwoma wieczorami „W krainie operetki” z udziałem solistów warszawskich.

VI WOJEWÓDZKI KONKURS RECYTATORSKI utworów o Armii Radzieckiej rozpoczął się eliminacjami powiatowymi. Organizatorem jest TPPR.

POMNIK MARII KONOPNICKIEJ ma stanąć w Suwałkach sumptem Powiatowej Rady Narodowej.

W ŁOMŻY, NOWOGRODZIE I NA GÓRZE KRÓLOWEJ BONY rozpoczęte zostaną na wiosnę badania archeologiczne przy współpracy naukowych warszawskich z Uniwersytetu i Politechniki.

W JEDWABNEM (powiat łomżyński) rozpoczął się cykl zebrań dyskusyjnych o roli, zadaniach i pozycji inteligencji pracują-

cej. Inicjatorem jest zespół redakcyjny „Gazety Białostockiej”.

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI GOLDAPSKIEJ przygotowuje do wydania przewodnik po powiecie oraz serię pocztówek krajoznawczych.

400-LECIE ZAŁOŻENIA SEJN, przypadające we wrześniu, już teraz spowodowało znaczne ożywienie pracy w 22 zespołach istniejących w powiecie. Zwiększają się też wpływy na budowę domu kultury.

PREZYDIUM PRN w MONKACH postanowiło wyposażyć w telewizory wszystkie szkoły i świetlice w powiecie.

KLUB DYSKUSYJNY W SIEMIATYCZACH powstał po wielu trudnościach dzięki SD, które go wyposażyło w sprzęt.

DZIEKI DWUMILIONOWEJ DOTACJI SEBS po kilkunastu dniach ruszy wreszcie dalej budowa domu kultury w Olecku.

18 TYŚIĘCY MIESZKAŃCÓW powiatu łomżyńskiego wysłuchało 285 odczytów, zorganizowanych przez Powiatowy Ośrodek Propagandy Partyjnej. Oświata i kultura były częstymi tematami.

ZIMOWY PROGRAM PDK w ELKU obejmuje m. in. wystawy wycinanek chińskich, fotografii, sportowe, przeglądy sytuacji międzynarodowej, seminarium dla

działaczy kulturalno-oświatowych z dwóch powiatów, kurs o sztuce teatralnej i filmowej.

KIELCE

SZÓSTA Z KOLEI WYSTAWA prac plastyka-amatora odbyła się w gmachu kieleckiego Prezydium MRN. Tym razem wystawiał Stanisław Bak z Helina.

ZWYCZAJA TELETURNIEJU „Szkoła Astronautów”, transmitowanego przez Interwizję, został Jerzy Miernik, uczeń kl. VII Szkoły Cwiczeń z Kielc. Weźmie on udział w finale międzynarodowym w Moskwie.

329 KIOSKÓW „RUCHU” sprzedaje książki i czasopisma we wsiach województwa. W tym roku przybędzie jeszcze 20.

WYSTAWA GOBELINÓW FLAMANDZKICH z XVII wieku, wypożyczonych z muzeum na Wawelu, cieszyła się wielkim powodzeniem w Sandomierzu.

KABARET BYŁYCH STUDENTÓW „YE-TI” obudził się po śnie jesiennym, chyba w wyniku styczniowych mrozów. Wystawił „Antyszopkę kielecką nr 1”. A co z nr 2?

„ZAPUSTY NA WSI KIELECKIEJ” rozpoczęły tegoroczny sezon Regionalnego Studium Świątecznego przy WDK. Wy-

konał je zespół z Tarczka pod kierunkiem poety ludowego Michała Basy.

MUZEM REJA WE WŁOSZCZOWIE uzyskało wreszcie lokal. Zanim został urządzony właściciel muzeum, harcerze z białostockiej „Kajki Pana-Rejowicza” w tym samym miasteczku powstała muzeum ognisko artystyczne pod kier. T. Przeniosło. W krótkim czasie napłynęły zgłoszenia!

5 TYŚIĘCY OSÓB W KIELCACH posiada pełnego wykształcenia podwyższonego. Ale z tego uczy się zaledwie 200.

UNIwersytet dla rodziców dzieci w każdej z 17 kieleckich szkół podwyższył. Niestety z frekwencją, a także atrakcyjnością zajęć, nie jest najlepiej.

AŻ 5 PRZEDSTAWIEN W Radomiu wiodł na koniec lutego zespół „A co z innymi miastami?”

RZESZÓW

W BARANOWIE ZAKOŃCZONO pierwszy etap budowy zabytkowego Pracowni kierują specjalistki z Krakowa. Na parterze znajduje się muzeum, otrzyma kombinat siarkowy w Tarnobrzegu, który finansuje część robót.

(Dokończenie na str. 14)

AKCENTY MIĘDZYKRAJOWE W POWSTANIU STYCZNIOWYM

JULIUSZ WILLAUME

Powstanie styczniowe wysunęło po raz ostatni w XIX w. sprawę polską jako zagadnienie międzynarodowe stanowiące przedmiot szczególnego zainteresowania zarówno ludów, jak i rządów Europy. Zrazu mocarstwa zachodnioeuropejskie, Anglia i Francja, uznały wybuch powstania styczniowego za złąby dla Polski, dlatego doradzały Polakom prędką ugodę z caratem. Dopiero na wieść o zawarciu w Petersburgu 8.II.1863 r. rosyjsko-pruskiej konwencji o współpracy przeciwko polskiemu powstaniu, Anglia dopatrzyła się w tym momencie próby odbudowy św. Przymierza i przekreślenia postanowień kongresu wiedeńskiego, a Napoleon III greświł okazję do wywyższenia dostojnego Prus. W tym celu Francji Francuzów zaproponował Aucebasz sojusz za cenę oddania Francji granic naturalnych nad Renem, tzw. zamian za odzyskanie przez Austrię w Prusach Śląska po uprzednim zwrocie Polsce Galicji, a Włochom Wenecji. Oferty te groziły Austrii wojną z Prusami i Rosją. Toteż niezbyt chętnie uczestniczył rząd wiedeński w notach protestacyjnych, złożonych w Petersburgu 17.IV.1863 przez gabinety europejskie z wyjątkiem pruskiego. Owe noty dyplomatyczne były wyrazem nader łagodnego orędownictwa za Polakami w ramach postanowień traktatów wiedeńskich. Rząd carski uprzedził celowo tę interwencję dyplomatyczną mocarstw ogłoszeniem 12.IV amnestii, jako też potwierdzeniem praw przyznanych poprzednio Królestwu Polskiemu. Tymczasem rzucone przez rząd francuski za pośrednictwem emigracyjnego przedstawiciela obozu konserwatystów polskich ks. Władysława Czartoryskiego, hasło „trwajcie!”, gdyż powstania określił przyszłe granice Polski, wpłynęło na przystąpienie do powstania stronnictwa szlacheckiego „Białych”, opanowania przez nich steru ruchu, co doraźnie przyczyniło się do odrzucenia amnestii carskiej przez Rząd Narodowy.

Ponownie złożone w zasadzie jednoznaczne noty Anglii, Francji i Austrii, pod wpływem ostrożnego stanowiska dwustronnie zainteresowanej Austrii — ograniczyły się do żądania ostatnich ustępstw uzyskanych dla Kongresówki przez Wielopolskiego oraz do propozycji zwołania konferencji sygnatariuszy traktatu wiedeńskiego celem omówienia sprawy polskiej. Jedynie nota angielska postulowała ponadto zawieszenie broni dla powstańców. Wobec niechęci mocarstw do poparcia powyższych żądań, czynem, po zdecydowanie odmownej odpowiedzi rosyjskiej, Napoleon III zamyslał o oddaniu sprawy polskiej pod obrady zwołanego kongresu do Paryża, ale Anglia nie chciała się zgodzić na wzrost znaczenia II Cesarstwa Francuskiego, Austria zaś ostatecznie poparła stanowisko Rosji i Prus. Zamknęła kordon odcinający Kongresówkę od świata po wprowadzeniu w Galicji w lutym 1864 r. stanu oblężenia. W ten sposób zawiodły nadzieje Białych na interwencję mocarstw.

Natomiast badające nigdy ani przedtem, ani potem sprawa polska nie budziła tak szczerego echa wśród opinii publicznej świata cywilizowanego, a zwłaszcza wśród mas ludowych Europy, jak właśnie w latach 1863/4. Wielcy myśliciele i przywódcy postępowi, jak Marks, Herceń, Mazzini, Kossuth, Garibaldi i wielu innych wzywało do niesienia pomocy polskiemu powstańcom. Tak np. Garibaldi złożył następujące oświadczenie w prasie: „Sprawę Polki uważam za sprawę mojej ojczyzny. Szczęśliwy jestem z usposobienia do wspólnego czynu trzech sióstr: Polski, Węgier i Włoch, sióstr, które postępują jako przednia straż wyzwolających się ludów.”

Pomoc dla powstania styczniowego przejawiała się rozmaicie. W postaci funduszy płynęła głównie z Francji, Anglii i Szwajcarii, gdzie na czele komitetu pomocy Polakom stał czołowy pisarz i poeta szwajcarski Godfryd Keller. Pod patronatem Marksa, Herceńa, Mazziniego, a przy współudziale Bakunina w marcu 1863 r. wypłynął z Londynu parowiec angielski „Ward Jackson” z 200 ochotnikami, bronią i amunicją dla powstańców na Litwie. Rząd szwedzki zatrzymał ten transport. Próba dotarcia w okolice Kłajpedy na innym statku nie powiodła się z powodu gwałtownego sztormu. Wódz włoskich republikanów Garibaldi zamierzał utworzyć legion włoski, a przywódcą patriotów węgierskich Kossuth pragnął Polakom odzyskać

się za pomoc dla Węgier w l. 1848/9, wysyłając legion węgierski na odsiecz powstańcom polskim. Jednak opanowany przez Białych Rząd Narodowy, z uwagi na pomoc dla powstańców idącą zrazu z Galicji — nie chciał pogarszać stosunków z Austrią, w gruncie rzeczy był przeciwny wiązaniu się z rewolucją międzynarodową.

W latach poprzedzających wybuch powstania styczniowego usobieniem współpracy demokracji rosyjskiej z polską był przebywanie na emigracji w Londynie redaktor postępowej gazety rosyjskiej „Kołokol” Aleksander Hercen. Wraz z działającym w Petersburgu rewolucyjnym demokratą i filozofem Mikołajem Czernyszewskim zachęcał on polską lewicę Czerwonych do połączenia ruchu narodowo-wyzwoleńczego z walką o wyzwolenie społeczeństwa ludu wiejskiego. Z inicjatywy zawiązanej w r. 1861 w Petersburgu rosyjskiej organizacji rewolucyjnej „Ziemia i Wolność” powstał na terenie Kongresówki Komitet Wojskowy pod kierownictwem Jarosława Dąbrowskiego a po jego uwięzieniu w r. 1862 — z por. Andrzejem Potiebnią na czele. Owocem jego działalności uświadomienia było pozyskanie dla sprawy polskiej wielu jednostek wojsk carskich stojących w Królestwie. Po wykryciu sprzyśnięcia wojskowego namiestnik Lüders

...fantazje godne matematyków i poetów

Kto jest sojusznikiem poezji? Przede wszystkim krytyk piszący o poezji. Jest albo powinien nim być. Nie ma ruchu, nie ma literackiego życia bez krytyki. Już taki jest współczesny mechanizm życia literackiego. Krążenie idei i treści artystycznych odbywa się na łamach prasy przy pomocy publicystyki i krytyki literackiej. Niedowład naszego życia literackiego wynika z zahamowań tego systemu krążenia. Same książki poetyckie rzucone na bezosobowy rynek w minimalnym zresztą nakładzie — giną gdzieś na półkach księgarń lub w prywatnych księgozbiorach. Brak własnego piśmiennictwa poetyckiego całkowicie odbiera poezję. Brak krytyki, brak systematycznych omówień poetyckich i artykułów problemowych na temat poezji, spycha ją w cień niesłusznie i niesprawiedliwie. Przecież poezja nasza ciągle zastępuje na głębszą uwagę. Nie zawsze można żyć na najwyższym diapazone, nie co roku rodzą się wybitne talenty, ale nawet powszedni dzień i powszedni rok naszej poezji jest bogaty w poetyckie osiągnięcia i odkrycia.

W bohaterstwie, ofensywnych okresach literackich, np. w Rosji w okresie rozwoju futurystów, nie tylko sami poeci tworzyli poetycką aurę. Szli z nimi razem ławą wybitni krytycy i myśliciele. Tynianow, Szklowski, Jakobson — torowali drogę poezji, która była jeszcze jak gorąca, nieostygła lawa. Lansowali tę poezję, dorabiali jej teorie — to była odwaga i ryzyko. Gdyby nie wielkie talenty Chlebnikowa i Majakowskiego — być może że z tego okresu pozostałyby tylko artykuły, tak jak u nas pozostały teoretyczne szkice Peipera, a nie jego poezja. Poezja rodzi się w samotności, ale prądy i nurty poetyckie powstają w ogniu dyskusji i polemiki.

Istnieje u nas paradoksalne zjawisko, że krytycy lekceważąc istotny obraz poezji współczesnej — ciągną ją niestannie do początków awangardyzmu, każą się poezji weryfikować poprzez Przybosa i poprzez awangardę, będącą już dziś przecież szacowaną tradycją literacką. Kanonizowanie i dogmatyzowanie poezji odbywa się poprzez sporadyczne wypowiedzi krytyków, którzy starają się nie mieć swego widzenia obrazem poezji współczesnej w jej całym pogmatwianiu, świadczącym o żywotności, w pomieszczeniu stylów, problemów i indywidualności.

Błoiński pisze w „Przeglądzie Kulturalnym” felieton pt. „Opisanie poezji”. To bardzo zobowiązujący tytuł, choć felieton nie może się podjąć tego zadania: opisanie obrazu poezji współczesnej. To „opisanie poezji”, którego nie przynosi nawet w szkicowym zakresie błyskotliwy jak zawsze felieton Błoińskiego, powinno się odbywać stale poprzez regularną krytykę książek poetyckich, powinno się sumować przez omówienia wielu poszczególnych utworów

aktualni na misie polski. Ataman, zapytując Polakom formacje wojskowe wycofano do guberni kazańskiej. Wydana w chwili wybuchu powstania styczniowego odezwa „Ziemia i Wolność” wzywała żołnierzy rosyjskich w Polsce tymi słowy: „Pamiętajcie, że sprawa polska, to wasza własna sprawa i że od wolności Polski zależy wasza wolność”. Niebawem kazańska organizacja „Ziemia i Wolność”, wspólnie z Polakami, zamierzała wywołać powstanie chłopskie nad Wołgą. Spisek kazański wykryto w maju 1863 r. Jego organizator, Hieronim Kieniewicz, latem 1864 został rozstrzelany wraz z głównymi działaczami, wielu zaś uczestników sprzyśnienia zesłano na ciężkie roboty.

Mimo zdecydowanie niechętnego stanowiska Rządu Narodowego wobec współpracy z rewolucją rosyjską, Potiebnia postanowił z bronią w ręku realizować sojusz dwu bratnich demokracji. Prowadząc do ataku polskich kosynierów, zginał 4.III.1863 w potyczce pod Pleskową Skalą.

Liczba oficerów i żołnierzy rosyjskich, białoruskich i ukraińskich, którzy przeszli do szeregów powstańców, sięgała kilku setek, skoro aż sześćdziesiąt kilku rozstrzelano, dziesiątki poszły do katorgi, wielu poległo. Niektórzy z rosyjskich wojskowych wybili się na tegich oficerów powstańczych. Tak np. kozak Mitrofan Podhaluzin dowodził oddziałem jazdy. Bohaterskie czyny kpt. Matwieja Biezkiszkina przeszły do podań ludowych, na których tle młodociany Zeromski osnuł poemat pt. „Bezkiżkin”. Dowódcami partii byli płk Paweł Bogdanow, kpt. Piotr Krasnow i in. Jak czytamy w niewydanych pamiętnikach powstańca Wł. Zelkowskiego,

jest niezrozumiałym nonsensem. Potrzeba nam krytyków-myślicieli, którzy by umieli na te rzeczy spojrzeć łącznie. Gdy mówi się o Apollinaire, mówi się jednocześnie o powiązaniach Apollinaire'a z malarzami, dlatego że środowisko artystyczne Paryża tego okresu było przemieszane i miało wspólne sprawy życiowe i artystyczne.

Listy o poezji (17)

SOJUSZNICY POEZJI

ANNA KAMIENSKA

Obok sympatii dla poezji, krytyka powinna chyba cechować pewną dozę szacunku, że nie powiem — pokory wobec sztuki. Mówi się u nas zbyt wiele o tym, że książki są dla krytyki „pretekstami” do jego własnych rozważań i konstrukcji myślowych. Jest to ulubione zresztą obecnie sformułowanie redaktorskie. Nie mówi się np.: nie ma książek, tylko mówi się: nie ma pretekstów dla krytyki. W tym sformułowaniu kryje się wielka nieufność w stosunku do literatury i wielki brak szacunku dla niej.

Nic dziwnego, że poeci dawno już przestali liczyć na krytyków jako swoich naturalnych sojuszników.

Sojusznikami współczesnej poezji są nowoczesni, myślący, świadomi swojej sztuki artyści: malarze, rzeźbiarze, architekci i muzycy. Niespotykany i nienormalny rozdział twórczych środowisk, nieprzenikliwość światów, zainteresowań, problemów — wynika chyba z trudności życia, ze złej organizacji, z braku czasu. Nie wyobrażam sobie współczesnego malarza gardzącego poezją ani poety nie czującego nowej sztuki plastycznej. To są wspólne, absolutnie wspólne tereny wyobraźni, czucia, problematyki artystycznej i filozoficznej. Może to szatan biurokracji poróżniał po kątach tak bliskie sobie muzy. Pisma, periodyki poświęcone sztuce, poezji, malarstwu, muzyce — powinny być nierozdzielne, tak jak zawsze były. To wrogowie poezji odzielił ją od innych sztuk, odciął od naturalnych jej sojuszników. Istnieje przecież specyfika każdej ze sztuk, rzemiosła i własne problemy twórcze, ale ciasna specjalizacja krytyki, nie uwzględniająca powiązań wzajemnych nowoczesnej sztuki —

prawie przybywało ochotnicy, a bardzo dużo przybywało Rosjan z wojska”. Wśród nich był podoficer pułku prusobrańskiego gwardii Orłowski, który z bronią w ręku jako rzekomy kurier zdolał wydostać się z Petersburga. Również pamiętnikarz Jan Filipowicz wspomina o zgłoszeniu się w Radzienku pod Michowem, powiatu lubartowskiego, do partii pka Heidenreicha — Kruka, oficera kozackiego Osi-pa Popowa, który odtąd dzielnie towarzyszył partii aż do klęski pod Faj-sławicami 24.VIII.1863. Na terenie Lubelskiego wyróżnili się partyzanci rosyjscy: por. Mikita, wachm. Diaczenko i niezwykle dzielny i ofiarny bojownik kpt. S. Nikiforow. Tego na natarczywy rozkaz Rządu Narodowego musiał rozstrzelać w Krasnymstawie Leleweł-Borelowski. Po egzekucji dowódcą ów rzeki do otaczających: „Mam przekonanie, że człowiek ten był takim zdrajcą, jak ja.”

Choć opanowanie steru powstania przez Białych odebrało mu charakter demokratyczny i oddziało nader ujemnie również na rosyjski ruch rewolucyjny, który wówczas chwilowo się załamał, to jednak zryw wolnościowy r. 1863/64 stanowi ważny moment zacieśnienia współpracy obu demokracji, przypieczątowany krwią najlepszych synów tak z polskiej, jak i rosyjskiej strony.

Poparcie sprawy polskiej także przez masy ludowe Europy zachodniej wynikało z powszechnej nadziei na załamanie się systemu reakcji światowej dzięki podważeniu przez polskie powstanie dotychczasowego stanowiska carskiego „żandarma Europy”.

(Dokończenie na str. 4)

jest niezrozumiałym nonsensem. Potrzeba nam krytyków-myślicieli, którzy by umieli na te rzeczy spojrzeć łącznie. Gdy mówi się o Apollinaire, mówi się jednocześnie o powiązaniach Apollinaire'a z malarzami, dlatego że środowisko artystyczne Paryża tego okresu było przemieszane i miało wspólne sprawy życiowe i artystyczne.

To powiązanie środowisk twórczych było silniejsze również w okresie trw. dwudziestolecia. Obecnie wyrósł mur pomiędzy środowiskami twórczymi, trudny do wytłumaczenia i uzasadnienia, istniejący wbrew naturalnym racjom i logice.

Współczesna sztuka poetycka zdobywa sobie jednak innych jeszcze sojuszników, do niedawna obcych. Myślę o naukach ścisłych. Zdobyte nauki otwierają nowe perspektywy dla widzenia materii, mikro- i makrokosmosu. Nauka, zarówno matematyka jak i fizyka — nie może istnieć bez wyobraźni, a wyobraźnia przecież jest podstawą także nowoczesnej poezji. Kto tu przed-widzi i przed-czuwa, kto wybiega wyobraźnią naprzód, nauka czy poezja, trudno rozstrzygnąć. Marzenie, wyobraźnia wyprzedza zawsze myśl naukową, wyprzedza hipotezę, a także jest początkiem poetyckiej wizji. Nie tylko jednak chodzi o wyobraźnię. Poezja szukając wyrazu najbardziej zwięzłego, lakonicznego, zbliża się do mowy znaków, do zapisu naukowego. Dlatego między innymi staje się trudna. Dlatego traci charakter popularny, oddala się od przeciętnego odbiorcy i samotnie. Samotność to gorzka, ale też odważna. Tego osamotnienia poezji nie można obracać jako zarzutu przeciwko niej, wówczas gdy jest to samotność wynikająca z poszukiwania ścisłości, precyzji, tych cech, którymi chlubi się również nauka.

Nieprzypadkowo współczesna poezja zajmuje się rzeczą, opisem pozornie zewnętrznym prostego przedmiotu, stolka, krzesła, rury od piecyka, daje coś w rodzaju studium przedmiotu, nie od strony malarskiej, ale jakby prześwietlonego poetyckimi promieniami Roentgena, wiążącego przedmiot ze światem otaczającym. To ulubione przez współczesnych poetów stylizowanie wiersza na opis naukowy bynajmniej nie jest przyprawą ani manieryczną.

Być może twierdzenie moje wynika z przekory i skłonności do paradoksu, ale wydaje mi się, że poezja współczesna na tego sojusznika powinna liczyć najbardziej, na naukę ścisłą. Świadomość tego sojusznictwa nauki i nowoczesnej sztuki zaczyna kielkować także w środowisku mądrych naukowców nie zamkniętych się w kręgu swojej specjalności, wrażliwych na sztukę. A gdyby tak ich zapytać o te sprawy? Co sądzą o poezji współczesnej? Czy dają im coś? Czy spodziewają się od niej istotnych dla siebie wartości?

SIGEDZI CUBOI

Słonecznik

Wola ku niebu
Wielkie złoiste koło —
Słonecznik!

Dokola jego korzeni
Roja się jak tysiące bakterii
Niezlizone mrówki
Czarne i czerwone...

Niebo
I ziemia
I słońce
I kwiat —
To tylko kropla znoju zakrzepła.

Upalna
chwila milczenia
dopelnia sierpniowe południe.

Nagle
Ciszę na strzępy
Wycie syreny rwie:
Ciętki pomruk samolotu.

KISIRO TANAKA

Wzgórze

Na cienistym wzgórzu
wysepki Nino-Sima
śpi moja córka.
Imię jej
wśród tysięcy imion zaginęło...
Żal, duszny żal.
Hiroszima —
Miasto Atomowe!

Zachód

Nie słyszę twego śmiechu,
dostrzec cię nie mogę.
Na ruinach szkoły
zachodzącego słońca
dogasają promienie...
Hiroszima —
Miasto Atomowe!

PRZEŁOŻYŁ

JERZY PLEŚNIAROWICZ

AKCENTY MIĘDZYNARODOWE W POWSTANIU STYCZNIOWYM

(Dokończenie ze str. 3)

Tym się tłumaczą manifestacje uliczne w Paryżu i Londynie na rzecz udzielenia skutecznej pomocy Polsce, aż do wypowiedzenia wojny Aleksandrowi II włącznie.

Pod wpływem odezwy Ludwika Kosutha do żołnierzy Węgrów służących w Galicji, aby szli na pomoc Polakom, wielu Madziarów przedostało się do obozów powstańczych. W walce o wolność Polski wzięło udział kilkuset Węgrów. Wśród nich byli tacy, jak uczonego węgierski Otto Herrman, czy też Koloman Csaky, który przewoził transporty broni przez granicę. Wielu honwedów z r. 1848/49 już w lutym 1863 odwzajemniło się Polakom za udział w walce o niepodległość Węgier w dobie Wiosny Ludów. W bojach działającej na Lubelszczyźnie partii Lelewela-Borelowskiego wziął udział przybyły w marcu 1863 z 17 towarzyszami mjr Edward Nyary, który 3 września zginął w bitwie pod Panasówką. Szefem sztabu Lelewela był płk Walisz, który poległ obok swego dowódcy 6 września w nieszczęśliwym boju pod Batorzem. Jeszcze w sierpniu mężnie biła się węgierska „legia zagraniczna” pod komendą kpt. Zoarda Bornemisza i Szweda kpt. Molboruga. W partii Zygmunta Chmieleńskiego zginął pod Melchorem śmiercią walecznych 30 IX 1863 rtm. Otto Esterhazy.

Z kolei stosunkowo liczni byli ochotnicy francuscy. Uważali się zapewne za zwiastunów francuskiej armii interwencyjnej, której wysłania domagał się lud francuski, a przeciwko której, przypuszczalnie sojusznicze Austrii, carat skupił na ziemiach objętych powstaniem w lipcu 1863 ok. 340 000 wojska, które ostatecznie rzucił na zdławienie co najwyżej 30 000 powstańców. Już 17 lutego w stoczonie przez białego dyktatora Langiewi-

ca, walczyli w bitwie pod miastem francuscy „żuawi śmierci” Franciszka Rochebrune'a w ataku na bagnety wyparli nieprzyjaciela z umocnionego stanowiska na cmentarzu, a następnie ścigając go, mimo krzykowego ognia z obsadzonych strzelaniami domów, opanowali rynek, skąd musieli jednak wycofać się w związku z ogólnym odwrotem pobitej partii. Niebawem według planu opracowanego w Poznaniu w marcu 1863 przez francuskiego ppłka de Noë dwie kolumny polskich partyzantów pod dowództwem Francuzów Faucheux i Young de Blankenheim miały przedostać się z Poznańskiego do Królestwa. Dowodzony przez Ganiera d'Albin 300-osobowy oddział w czasie przekraczania granicy został rozbity przez Prusaków. Jedynie Henri Soudeix zdołał z setką rozbitków dołączyć się do szpicy kawaleryjskiej, z którą Ganier d'Albin nie zauważony przeszedł granicę. Sformowany w Wielkopolsce w kwietniu oddział 500 kosynierów pod komendą 26-letniego ppłka Younga de Blankenheim wszedł do grupy wojewody mazowieckiego i kaliskiego Józefa Zeyfrieda. Zaatakowany 26 IV pod Nową Wsią przez silny oddział kawaleryjski wspierany piechotą, Blankenheim przy pomocy sąsiednich partii zdołał wyprzeć nieprzyjaciela za granicę. Jednak gdy w 3 dni później na grupę Zeyfrieda uderzyła skombinowana kolumna gen. Konstandy, nie pomogły kontrataki kosynierów na piechotę, a nawet armaty. Kosa jako broń zaczepna stanowała w 1794 r. zaskoczenie pod Raclawicami, natomiast w r. 1863 oddziałom carskim rozdano instrukcję, jak należy karabinem z nasadzonym bagnietem odparowywać natarcie osadzonej na sztorc kosy. W nierównej bitwie pod Brodowem 29 IV bohatersko poległ Young wraz z ok. dwiema setkami powstańców. Tegóż samego dnia w bitwie pod Pyzdrami o zwycięstwie partii gen. Taczanowskiego rozstrzygnął atak kosynierów pod wodzą Ganiera d'Albin oraz pomoc oddziału Emila Faucheux, który tam był ranny. W niewydanych pamiętnikach dotyczących powstania styczniowego zachowała się wiadomość o działalności partyzanckiej na terenie województwa lubelskiego Francuza Bardet.

W szeregach powstańczych nie brakło i Niemców. W oddziale wojewody mazowieckiego Edwarda Calliera wyróżnił się kpt. Kranich, który poległ. Rany odniósł por. v. Puttkammer, wiośnią 1864 r. aresztowany w Prusach za udział w powstaniu. Poza tym, jak wynika ze sprawozdania z 22 III 63 prezydenta policji w Poznaniu Bärensprunga, z uniwersytetów berlińskiego i wrocławskiego do tego czasu poszło 12 studentów do powstania. W ogóle dziś przypuszcza się, że na kilkudziesięciu Niemców w szeregach powstańczych większość stanowili raczej rzemieślnicy i robotnicy z Poznańskiego i ze Śląska.

W zorganizowanej, w pierwszych dniach maja 1863 r. przez I „czerwonego” ex-dyktatora powstania gen. Ludwika Mierosławskiego w Krakowie, partii przeważali francuscy i włoscy rewolucjoniści. Dowodził nimi dzielny uczestnik walk o wyzwolenie Włoch w latach 1848 i 1859, podkomendny i przyjaciel Garibaldi, ppłk Francesco Nullo, świeżo mianowany przez Rząd Narodowy generałem. Nullo przekroczył 3 V granicę pod Olkuszem w 600-osobowej partii Józefa Miniewskiego, w której jako współdowódcę całości wiodł legię włosko-francuska. Wprawdzie 4 maja pod Podlesiem rozgromił oddział obserwacyjny przeciwników, jednak następnego dnia pod Krzykawą, gdy po dłuższej wymianie strzałów z przeważającymi siłami wroga, z dobytą szablą prowadził oddział do ataku, padł przeszyty kulami, dzieląc los większości swych podkomendnych; resztkę zesłano na Syberię. Pomnik bohaterskiego Włocha, jako znak wdzięczności narodu polskiego, zdobi dziś w Warszawie ulicę Frascati.

Na życzliwe wspomnienie zasługuje również wysłany w charakterze obserwatora wojskowego przez rząd szwajcarski płk Fischer Erlach, którego rzetelne sprawozdania o przebiegu walki były nacechowane szczerą sympatią dla polskich bojowników. Dochowały się również wzmianki o oficerze Stanów Zjednoczonych, który przybył nad Wisłę wziąć udział w powstaniu względnie jako korespondent wojenny.

Wiadomo również o udziale w powstaniu prawdopodobnie ok. 50 ochotników czeskich, rekrutujących się przeważnie z czeladzi rzemieślniczej, oraz o nieco mniejszej liczbie Słowian bałkańskich. Zarówno Czesi, jak i młodsi rewolucjoniści bałkańscy, pod wpływem powstania styczniowego musieli przeprowadzić niełatwą rewizję swego dotychczasowego stosunku do

Epizod z czasów okupacji

ANIELA CZECH

Autorka tych wspomnień, zasłużona działaczka ruchu robotniczego (KZMP, KPP, PPR), należała do grupy inicjatywnej rzeszowskiej. W jej mieszkaniu w Rzeszowie, przy ul. Szopena 61, odbyło się w styczniu 1942 r. zebranie założycielskie rzeszowskiej organizacji PPR. — Red.

BYŁO to w okresie, kiedy wokół Stalingradu coraz mocniej zaciskał się pierścień armii radzieckiej. Na pomoc zagrożonej armii Paulusa Niemcy pchali ogromne siły na Wschód. Przez Rzeszów przejeżdżały pociągi z wojskiem. Pamiętam, otrzymałam polecenie doręczenia literatury partyjnej do Okręgu. Był siołeczny, ciepły, jesienny dzień. Dla bezpieczeństwa obłożyłam się literaturą, a na nią nałożyłam pasek od pończoch, nałożyłam płaszcz, do kieszeni włożyłam portfel z pieniędzmi i kennkartę. Przed wyjściem spojrziałam w lustro i skonstatowałam, że u znajomych, których mogę spotkać po drodze, figura moja może budzić pewne zastrzeżenia. W pośpiechu zmieniłam płaszcz na reglan i tak wyszłam z domu. Czulałam mocny ucisk literatury. Zanim wyszłam za miasto, jeden guzik nie wytrzymał i odpadł. Kiedy doszłam do trzebowniska, postanowiłam skrócić sobie drogę, skrócić z szosy na miedzę, która wychodziła wprost na dom tow. Franciszka Beresia. W chwili, gdy przeskoczyłam rów, odpadł drugi guzik, pozostały już tylko dwa. Wciągnęłam jak najmocniej brzuch i śpiesznie szłam w kierunku wsi. Kiedy przeszłam połowę drogi dzielącej dom od szosy — a pole w tym miejscu równe niby stół, o tej porze zupełnie gołe, bo nawet kapusta była już zebrana z pola — zobaczyłam na drodze we wsi trzech Niemców w mundurach, którzy mnie również zobaczyli, przystanęli spoglądając w mój kierunek. W tej sytuacji przez zapomnienie, może ze strachu, tak mocno nabrałam powietrza do płuc, że odpadł trzeci guzik. Wówczas włożyłam rękę do kieszeni i w ten sposób przez płaszcz podtrzymywałam literaturę, zwalniając jak najbardziej kroku. Wiedziałam, że strach jest najgorszym doradcą, a więc zebrałam całą siłę woli i idąc w kierunku czekających na mnie Niemców, liczyłam na jakąś zbawczą myśl, która pomoże mi wykrecić się z opresji. Lecz myśl ta wciąż nie nadchodziła, zawrócić nie mogłam, znajdowałam się na odległo-

ści strażu, ucieczka nie miała żadnych szans powodzenia. Odległość między mną a oczekującymi na drodze Niemcami zmniejszała się coraz bardziej. W pewnej chwili Niemcy widząc, że idę w ich kierunku, zawrócili i udali się do domu tow. Beresia. Było mi wiadome, że tak jak i mnie, tak i po tow. Beresia już dwukrotnie przychodzili gestapowcy. Pomyślałam, że są dwie możliwości albo tow. Beres został aresztowany, albo we wsi kwateruje wojsko.

Gdy zbliżałam się do drogi, widziałam, że przez okno obserwowali mnie sami Niemcy. Nie miałam innego wyjścia, skręcałam na prawo i skierowałam się do pierwszego domu. Nie wiedziałam, kto tam mieszka, za ludzkie, jak mnie przyjmą. Musiałam wejść, czulałam, że w każdej chwili może odpaść ostatni guzik i literatura wypadnie na ziemię. Wszłam do domu i zapukałam. Usłyszałam głos „ja”, równocześnie otwarły się drzwi, zobaczyłam w pokoju żołnierzy nie mieckich przy suto zastawionym stole. Gestykulując zaczęli mnie natrętnie zapraszać do siebie na libację. Widok ten utwierdził mnie w przekonaniu, że we wsi kwateruje wojsko. Co zrobić? Jeśli mnie zmuszą, bym usiadła, ostatni guzik odpadnie. I tak przyszła mi nagle do głowy zbawcza myśl. Na poczekaniu zaczęłam igrać o chorobie dziecka, miałam przy tym tak stroską twarz, pokazałam bućtelkę na mleko, obiecałam przyjechać, że gospodyni jest u sąsiada. Wskazywali na dom Beresia i nawet podprowadzili mnie pod jego dom. Nie miałam innego wyjścia jak iść do domu tow. Beresia, który ostrożnie przez okno dawał mi znaki, aby sobie poszła do diabła! Z drugiego pokoju obserwowali mnie Niemcy wesoło gestykulując. Gdy wszłam do pokoju tow. Beresia, ten krzyknął na mnie wściekły: „Czyż oszalała, czy nie widzisz, że tu są Niemcy, czyż nie mogłaś zawrócić nie wchodząc do mojego domu?” Chciałam się wytłumaczyć, jeden nieprzemysłany odruch i odpadł ostatni guzik, a literatura zsunęła się na podłogę wokół moich nóg. Równocześnie usłyszeliśmy skrzyknięcie drzwi od pokoju, w którym kwaterowali Niemcy, potem pukanie. Usłmek sekundy — schyliłmi się z tow. Beresiem, podnieśli literaturę i rzuciliśmy ją na stojące za mną łóżko. W te-

(Dokończenie na str. 8)

caratu jako naczelnego obrońcy Słowiańszczyzny. Ostatecznie odgródziliśmy się od carskiego panslawizmu, zrozumieli, że słuszność jest po stronie polskich powstańców i rewolucjonistów rosyjskich, jako wyrazieli dążeń narodowo-wyzwoleńczych oraz nurtu postępowego w ruchu międzynarodowym. Także w Rumunii opinia publiczna opowiedziała się gorąco po stronie polskiej. Wprawdzie książę Al. Cuza oficjalnie zabronił przemarszu oddziału płk Zygmunta Miłkowskiego na Podole, co spowodowało pomyślną bitwę z Rumunami pod Constangalia, zakończona złożeniem broni przez Polaków dnia następnego, to jednak na ciche polecenie księcia władzę rumuńską nie przeszkadzały powstańcom polskim w małych zespołach udających się z bronią na pole walki.

Z przytoczonych przykładów braterskiego współdziałania narodów europejskich z Polakami, walczącymi „za naszą i waszą wolność”, wynika, że wbrew chwiejnej i krętej polityce rządów, opinia publiczna świata cywilizowanego była wówczas zdecydowanie po stronie słusznej sprawy i poparłaby nawet wojnę podjętą dla wyzwolenia Polski.

Trzeba wreszcie pamiętać, że powstanie styczniowe miało również wybitny wpływ na skrytalizowanie form organizacyjnych międzynarodowego ruchu robotniczego. W związku z wiecami robotniczymi na rzecz niesienia pomocy Polsce Marks i Engels w r. 1864 w Londynie doprowadzili do utworzenia I Międzynarodówki, której Rada Generalna publicznie tak oceniła rolę powstania 1863 r.: „Walka Polaków o niepodległość była prowadzona we wspólnym interesie narodów Europy, dlatego też ich klęska jest jednocześnie silnym ciosem dla sprawy cywilizacji i postępu ludo-

wego. Polska ma niewątpliwie prawo żądać od czołowych narodów Europy wszechstronnej poparcia w uzyskaniu niepodległości”.

Jak z powyższego zwięzłego przeglądu wynika, powstanie styczniowe po 30 latach niebytu politycznego w dziejach narodu i dziejach Europy stworzyło nową kartę polityczną wprowadziło z powrotem sprawę polską w krąg zainteresowań międzynarodowej opinii publicznej. Z perspektywy minionego stulecia możemy dumą stwierdzić, że w r. 1863 zdrowy trzon narodu polskiego zagadnięty wyzwolenia politycznego starał się o miarę czasu i swych możliwościach zająć się sprawą demokracji i postępu. Dziś w wolnej Ojczyźnie wspominając bohaterską walkę pokolenia 1863 r. o podstawowe prawa narodu, wiemy, że nienadaremnie zraszała nasza ziemia krew polską zmieszana z nie mniej ofiarną krwią najlepszych synów przyjaźnionych z nami narodów. Z posiewu bowiem krwi bojowników „za naszą i waszą wolność” odżyła kęś ciuszkowska ideologia walki o nową Polskę, zapewnijającą sprawiedliwą społeczność całemu narodowi, zbratanemu z wszystkimi ludami dobrej woli kroczącymi ku lepszemu jutru całej ludzkości.

Toteż w obchodach stuletniej rocznicy powstania styczniowego w wdzięczne wspomnienie zasłużyli również przed chwilą wymienieni myśliciele i powstańcy 63 r. różnych natchowań, którzy walczyli bohatersko za sprawę polską jak za sprawę własną. Tak w ogniu walki hartowało się braterstwo ludów. Jest to jedna z najcenniejszych tradycji przekazanych nam przez pokolenie roku 1863, jak drogowskaz na przyszłość.

Juliusz Willaume

SZYKOWAŁEM się do wielkiego reportażu, takiego co to parzy gorącością czcionek, zaczyna się od słów: „sprawa jest poważna”, zaś kończy się mocnym stwierdzeniem: „W sprawie trzeba załatwić”, ale muszę porzucić szlachetne zamiary. Będą tylko impresje, ledwie cienki racjonalny wniosek. Chuda rzecz.

Proszę, taki reportaż: stoi się przy oknie, patrzy się i pisze się. Tyle się wie, ile się widzi przez okno. Choćby to było okno na trzecim piętrze. Kostka bruku, domy przy Głowackiego malowane w bordo i piasek i rytna na jaskrawą zieleń, bardzo impulsywna, jakby rytna w tym malowaniu była najważniejsza. Przejeżdżają auta, nie za często. Zgrabna maszyna strzyże trawniki, więc nam przyjemnie i mówimy w redakcyjnym pokoju: „technika i jeszcze raz technika”. Ludzie czekają na autobus, przystanek od okna bardziej na lewo i jest tam żółta ławeczka. Na moim biurku dwa telefony: jeden łączy normalnie, drugi łączy przez „10”. Żółta ławeczka, zgrabna maszyna do strzyżenia, dwa aparaty telefoniczne. Konkluzja: żyje się coraz mądrzej.

Ano właśnie. Do szpitalika oddano w październiku 1960 kilkumiesięczne dziecko, żeby żyło. Matka powiedziała: chore. Reporter musi rzeczowo: Sławek miał astmatyczny nieżyt oskrzeli, niedokrwiłość i krzywiznę. Kuracja nie potrwała długo. Jeśli dobrze pamiętam, małego można było zabrać do domu w lutym. Nikt go wszakże nie chciał zabrać do domu. Matka oświadczyła, że nie, bo ma złe warunki mieszkaniowe, a ojciec pokazał się w szpitalu chyba raz, na początku. Oboje są młodzi i ich jest to dziecko.

O wyleczonym Sławku, którego nie chciano zabrać do domu, powiadomiono mnie telefonicznie, zadzwonił ten aparat, co łączy nie przez „10”. Zdawało się wtedy, że będzie temat doniosły. Byłem, pytałem, patrzyłem, notowałem w pamięci i w kratkowanym zeszyciku.

I dziś mogę o nich powiedzieć tyle, co o tych na autobusowym przystanku: ludzie. Może nawet warto podkreślić, żeby nie było wątpliwości: ludzie. Jedni czekają na autobus, drudzy nie chcą swojego dziecka. Ojciec, jak powiedziałem, raz odwiedził syna, matka poszła do szpitala dwa razy. Oni mieszkają na peryferiach Kielec, tam już pola. Domek w ogródku kiepski, ale domek. Posesja jego rodziców. Na dachu zakratowany otwór. Gołębnik. Rzucił się w oczy jakby był najważniejszy. On — chłop tęgł, czerwony — nigdzie nie pracuje. Opinię z ostatniego miejsca pracy ma dobrą, więc dlaczego ci, którzy go znają, mówią, że birbant? Chce — tak twierdzi — iść do roboty, ale ma tylko 5 klas. „Na budowę za 600 złotych nie pójdę”. Ona pracuje akurat za 600 złotych. Na niego i pewnie też na siebie. Ona jest zahukana i czegoś się boi, ona na pewno czegoś lub kogoś się boi, a on gdy go spytałem, czy za awantury był karany w Kolegium, bo słyszałem, że był, odpowiedział, że nieprawda. Matka jego wtrąciła: „Pan pomylił syna z ojcem... Mój stary pije... Nawet się leczy... A bo to można proskami wyleczyć, jak się pije?”. Na pytanie co z dzieckiem, wzduszał ramionami. Wygląda, że dziecko nie ich, a przeciw ich. Nie chcą dziecka, które jest ich dzieckiem. Nie wiem tylko, czy oboje nie chcą z tych samych powodów. Nie wiem i nie będę wiedział, bo ona czegoś lub kogoś

Tyle się wie, ile się widzi przez okno

RYSZARD SMOŻEWSKI

się boi, a on milczał i pewnie pokazałby gdzie mnie ma, gdybym nie był w towarzystwie państwowego samochodu, którym przyjechałem.

„Mały kłopot szpitalny poszedł do Domu Małego Dziecka, ten Dom widać z mojego redakcyjnego okna. Sławek dostanie tam 1300 kalorii dziennie, będzie mu dobrze. Załatwiona sprawa. Wszyscy mi mówili: nie warto pisać, bo przecież sprawa już załatwiona. Mielł rację. Nic tu mądrego nie da się wynioskować. Kto tam znowu o prawie? Jakże prawo? Pan prokurator nie może zmusić do wychowania dziecka. Może ewentualnie zmusić kogoś, ale do zabrania dziecka. Do wychowania nie zmusi, bo pan prokurator nie mieszka razem z rodzicami dziecka, nie mieszka w takim domu, gdzie na dachu jest gołębnik.

Mały Sławek nie wrócił do domu z gołębnikiem. Można go odwiedzić w Domu Małego Dziecka, gdzie ma 1300 kalorii dziennie i jak inne dzieci szarą teczkę papierową. Pani Maria Pratt kierownik Domu, pokazała mi szare teczki: „Każda z nich to... zresztą niech pan przejrzy”.

W teczce numer 9/61 siedzi dwoje niedorozwiniętych dzieci niedorozwiniętych rodziców. W teczce jest miejsce na trzecie niedorozwinięte dziecko tych samych niedorozwiniętych rodziców. Wkrótce będzie. Pani Pratt pyta: „Co z takimi zrobić, proszę pana?” Ja odpowiadam: „Co z takimi zrobić, proszę pana?”.

W innej teczce bliźniaki: Bożenka i Małgosia. Ojciec pojechał na wycieczkę do Czechosłowacji, stamtąd zwił do NRF. Wrócił. U żony zastał mężczyznę. Rozwód. Sąd podzielił dzieci, lecz dzieci nadal siedzą w szarej teczce, gdyż rodzice nie chcą czy nie mogą ich zabrać. Ona zresztą ma już dwoje dzieci z drugim. Bożena i Małgosia ukończyły trzy lata. Dom Małego Dziecka nie ma prawa ich dłużej trzymać. Po trzech latach dziecko albo wraca do rodziców, albo wędruje do jakichś zakładów specjalnych. Bożena i Małgosia do rodziców wrócić nie mogą, bo rodzice nie chcą czy nie mogą ich zabrać. Wydział Oświaty też ich nie weźmie pod swoją opiekę, bo wpróżdy należałoby sądowo pozbawić rodziców władzy rodzicielskiej. Pani Pratt prosi: „Niech pan zanotuje, że to nie proste”. Notuję. Korowody sądowe trwają latami. W Czechosłowacji takie prawo: jeśli ktoś przez 6 miesięcy nie interesuje się losami dziecka, wystarczający fakt, aby pozbawić go władzy rodzicielskiej. U nas inaczej. Nasze prawo dokładne i akuratne. Świadczy o tym teczka małej Mirki L. Podrzucono ją pod Komendę MO w Skarżysku. Mała ma już 2 latka. Ani matka, ani ojciec nie interesują

się co z Mirką. Matka mieszka w Skarżysku, ojciec w Bytomiu. Dom Małego Dziecka wystąpił o pozbawienie władzy rodzicielskiej. Jedna rozprawa odbyła się w Skarżysku, druga w Bytomiu. W miejscu zamieszkania rodziców. Takie przepisy. Tu i tam musi jeździć pani Pratt. Na jednym posiedzeniu sprawa zwykle się nie kończy. Mirka L. ma 2 lata i 32 dokumenty. Tyle lat i tyle papierów naliczyłem w jej teczce.

Kazano mi napisać: „Najgorzej, gdy wiadomo kto podrzucił dziecko”. Paradoksalne? To jest tak: jeśli nie wiadomo, kto podrzucił dziecko, z adopcją nie ma kłopotu. Dziecko podrośnie i ktoś obcy zabierze je jako swoje. A jeśli wiadomo kto podrzucił, sąd musi przesłuchać rodziców, a już na pewno matkę, bo z ojcem przecież różnie bywa. Niby są, a ich nie ma. I wtedy zaczyna się tasieniec sądowych papierów, a dziecko choć z nazwiskiem — jest faktycznie niczyje. Różni ludzie czekają na niczyje dzieci, chcą je brać jak swoje, lecz to nie proste.

Teczka 62/60 czyli mała Elżbietka. Nie ma trzech lat. Spytałem ją, gdzie tatuś — odpowie: „Poszedł pić wódkę”. I prawie tyle pamięta z rodzinnego domu.

Genowefa L. ma sześćcioro dzieci w kieleckim Domu Małego Dziecka. Rodzi co rok.

Przyszła jedna niedawno, przyniosła dziecko, położyła na stole, poklepała się po brzuchu: „Jestem znowu w ciąży, jak urodzę, przyniosę. Bo wy od chowania, a ja od rodzenia”.

79 szarych teczek. Na drugim piętrze Domu wewnątrz wypolerowanego. Dodajmy: ciasnego Domu w środku miasta, bez ogródka. Schodziłem po gładkich, stromych schodach. Pani Pratt mnie ostrzegła: „Niech pan uważa, schody śliskie”. Uważałem. Byłoby śmieszne, gdyby 30-letni koń spadł ze schodów.

Byłem w domu naprzeciwko mojej redakcji, ale właściwie jakbym widział go z okna. Co wiedziałem wiem, z czym wszedłem z tym wyszedłem. Oto rachunek: 79 dzieci plus 79 matek plus 79 ojców. Z tego nic nie wynika. Nie takiego, co mogłoby stanowić jedną prawdę, ogólny wniosek, bo ja wiem co jeszcze.

Byłem na przedmieściach, tam gdzie już pola. U zbiegu ulic stał człowiek obdarty, z długimi włosami, trzymał kij w ręku i płakał. Dokuczają mu dzieci i dorośli, bo mówią, że Bogdan Ilnicki wariat mieszka w ganku. Szmaty i gazety zamiast szub. Patrzy na mnie i ma błyszczące oczy: „Proszę pana, ja nie jestem wykształcony, ale przecież nikomu niczego złego nie robię”. Mieszkał pod Zytomierzem. Rodzice zmarli, gdy miał 8 lat, majątek rozparcelowano. „Mój dziadek był pułkownikiem, a ja nie jestem wykształcony, ale nikomu nic złego nie robię”. 57-letni Bogdan Ilnicki płacze i mówi, no, tak on mówi jak wariat: „Gdybym mieszkał w wielkim mieście, nikt by mi nie dokuczał. A tu małe miasteczko”. Bogdan Ilnicki jest głodny, chodzi z kijem, płacze, mówi jak wariat. Więc należy nim poniebrać... I właściwie po co on w tym reportażu?..

1300 kalorii, gołębnik, rytna, dwa telefony, jeden łączy normalnie, drugi przez „10”, szare teczki, strome schody, głupi, płaczący człowiek, przedmieścia gdzie pola...

Tak już jest.

SUCHE: pomarszczone oblicze o tępych wyrazie przyklejone do szyby, spod siwych brwi beznamiętnie patrzą oczy, nie widzą ludzi idących drogą, krów na pobliskiej łące. Myśl ucieka wstecz, staruszek przeżywa na nowo urwyki minionych wydarzeń. Wszystko co go otacza jest tylko niemłą dekoracją, niechętnie obraca się w tym świecie, w miarę możliwości uciekając do tego co najistotniejsze — wspomnień.

W ciemnej izbie panuje zaduch. Dzieci wrzeszczą, biją się, matka biegnie od garnków do pralki, czasami niechętnie spogląda w kierunku okna. Ociec, ady weźmie się do roboty, psiakrew wyreki żadnej z dziada nie ma. Twarz odkleja się od szyby, staruszek wynosi kuberki z brudną wodą, potem szybko wraca na dawne miejsce. Do wspomnień. Psiakrew ociec, drzewa narabieć, świniom trzeba dać żreć, izbę zamieść. Psiakrew ociec... Z takim trudem gromadzone myśli rozprzerchły się znowu, w rytm przekleństw siekiera przecina drewniany klocek.

Stara Kulowa pamiętają jeszcze niektórzy, jak bryczką jeździła w niedzielę na sumę. Daleko to tam nie było do kościoła, ale liczył się szuk, z jakim Kulowie zajeżdżali na placyk, jak przystało najbogatszym gospodarzom we wsi. Czasem aż wierzyli się nie chce, że to ta brudna, wiecznie rozczochrana i zgarbiona kobiecina buzdziła kiedyś podziw swą elegancją. No cóż, któregoś dnia umarł Kula, a gospodarstwo rozdzielono sprawiedliwie między dzieci. Z początku to nawet wszystko szło dobrze, niech mama u nas zostanie, przecież jedzenia nie zbraknie, potem widocznie zabrakło, bo powiedzieli jej, żeby sobie poszła do drugiego syna, niby dlaczego jeden tylko ma za nią płacić. I tak się zaczęło. Odtąd wędruje co pewien czas, kiedy trzeba pomóc przy jakiejś większej robocie, samotna właściwie i bezdomna.

Życie starych ludzi zawsze jest trudne i nigdy w istocie nie wiadomo co w nim jest gorsze, brak jakiegokolwiek obowiązków i samotność czy nadmiar zajęć. Na wsi nie ma zresztą

tej alternatywy, tu liczą się każde ręce, zdolne wykonać najprostszą choćby czynność. Nawet ręce bardzo już niedołężne. Uczucia, względy osobiste, schodzą na plan dalszy, chociaż oczywiście mogą ułatwić lub zupełnie zatrąć życie, tutaj rządzi nieubliżana koniecznością maksymalnego potaniaenia produkcji, gdyż tylko wtedy drobne, prymitywne gospodarstwa chłopskie mogą przynieść jakiś zysk.

TWARZE ZA SZYBĄ

JACEK WOJCIECHOWKI

Ludzi, kórzy ukończyli sześćdziesiąty rok życia jest na wsi półtora miliona, co stanowi 10% społeczeństwa wiejskiego. Półtora miliona ludzi, którzy teoretycznie przekroczyli już wiek produktywny i w przypadku państwowej posady mogliby zrezygnować z pracy zarobkowej na rzecz renty. Na wsi te 10% ludności opiera swą egzystencję na pracy produkcyjnej największej części społeczeństwa i na tym tle dochodzi do konfliktów. Społeczeństwo wiejskie nie neguje prawa do spokojnej starości, ale nie widzi również przeszkód, by ciężar jej utrzymania zmniejszyć do minimum. Najwyraźniej zimne kalkulacje materialne biorą górę nad powiązaniem uczuciowymi, chociaż oczywiście w poszczególnych wypadkach punkt ciężkości przesuwają się z jednej strony na drugą.

Dziwne jest to poszanowanie groza na wsi. Oszczędza się na jedzeniu, maszynach rolniczych, nawozach, kórzyta z pracy dzieci i staruszków. Ale równocześnie bez zmużenia oka płyną pieniądze na motory, telewizory, buty sztywne na miarę, sztywne ubrania, meble o wysokim połysku i równie wysokie ceny. Bo to jest właśnie opaczne pojęcie nowoczesności, chwytanie błyskotek, a nie jej istoty. Dlatego telewizor stoi w kompletnie rozwalonej chałupie, sta-

ry dziadek ciężko pracuje w oborze, bo skąd brać pieniądze na pomocnika, kiedy trzeba spłacać raty za motocykl, dlatego wreszcie kuleją czyny społeczne z braku funduszy, chociaż wieczorami w gospodach nie brak klientów i nikt nie bierze na kredyt, a przecież wódka droga.

Apelowanie do sumienia, głosy oburzenia — kwestii nie rozwiążą, gdyż zasadniczy nurt opinii społecznej wi-

właściwie ocenia sytuację. Tylko że opinia sobie a praktyka sobie. Pewnie, wyższy poziom kultury, wzrost świadomości społecznej mogą złagodzić niektóre konflikty, ostatecznie chodzi również o tę odrobinę rodzinnego ciepła. Zasadnicze trudności stwarza jednak brak odpowiedniej bazy materialnej, brak materialnego zabezpieczenia bytu po ukończeniu wieku produkcyjnego. Prawdopodobnie przy pełnym przejściu na gospodarke uspołecznioną problem stanie się nieaktualny, ale to jeszcze sprawa przyszłości. Drogę wyjścia nie ma zbyt wiele, jedną z nielicznych jest wprowadzenie przymusowych ubezpieczeń na poczet późniejszego uzyskania renty, ściąganie ich z taką samą surowością jak podatków gruntowego czy opłat za światło, nawet wbrew woli zainteresowanych. Kto ma skrupuły, niech przyjrzy się, jak żyją starzy ludzie na wsi.

Kiedy ten dziadek wchodził do sklepu, wszyscy zatykali nosy. Miał skudłone włosy, zawsze chodził w potarganej szubie, jego rozwalona chałupa miała tylko jedną izbę zdatną jeszcze do użytku, toteż sypiał w niej razem z kózą. Więc kiedy wchodził do sklepu, wszyscy zatykali nosy, chociaż uśmiechał się przepraszająco. Właściwie to diabli wiedzą, skąd

miał pieniądze. Kawalek ziemi od lat nie uprawiany, rodzina gdzieś rozeszła się po świecie i tylko pomoc liścicy w sąsiadów, a także kózka, były podstawą życia. Dlatego pieniądze w jego ręku były czymś niezwykle, pewnie ktoś sypnął bilonem za pasanie krów, a teraz wszyscy komentowali dziadkowe zakupy.

Ludzie starzy, samotni, pozostawieni własnemu losowi, to jednak wypadki niezmiernie rzadkie, ale też są drastyczną ilustracją jednej z przyczyn bardziej powszechnego zjawiska — odpływu ze wsi ludzi w sile wieku.

Dynamiczny rozwój przemysłu, wzrost miast, daje możliwość przejścia do nich ludziom ze wsi, a oni traktują to jako awans. Wiadomo przecież, że do miasta nie przeniosą się starsi, przyzwyczajeni już do swego życia i niechętni do nauki, natomiast gremialnie odpływa młodzież, najbardziej dynamiczną część społeczeństwa. Chwilowo nie ma dla niej zajęcia na wsi, chwilowo, powtarzam, miasto wabi swoją atrakcyjnością, chociaż z każdym rokiem maleje jego chłonność. Tymczasem stale podnosi się średnia wieku ludzi pracujących na wsi produkcyjnie, wskutek zaburzeń w dopływie młodych kadr obserwujemy zjawisko zwane starzeniem się wsi.

Rozwój miast doprowadził do zmian w strukturze ludnościowej kraju. W roku 1950 ludność miast stanowiła 37% naszego społeczeństwa, a ludność wsi 63%, gdy tymczasem w roku 1960 proporcje zmieniły się już poważnie, bowiem mieszkańcy miast stanowili 47% ludności. Średnio roczny przyrost społeczeństwa w miastach wyniósł w tym dziesięcioleciu 4,5%, przy czym np. w roku 1951 osiągnął aż 9,5%, w każdym razie znacznie przekraczając przyrost naturalny, głównie bowiem oparł się on na wielkim napływie ludności ze wsi.

Pomimo faktu o wiele wyższego przyrostu naturalnego na wsi niż w mieście, liczba mieszkańców na wsi zwiększyła się bardzo nieznacznie.

(Dokończenie na str. 9)

SENATOR STEFAN BOGUSZEWSKI

MICHAŁ SZULKIN

NIESŁUSZNE zapomniany działacz antyfaszystowski Stefan Boguszewski pochodził ze środowiska ziemianńskiego i związany był z Lubelszczyzną. Urodził się 7 I 1877 r. i wychowywał się w patriotycznej atmosferze powojennej. Ukończył studium rolnicze Uniwersytetu Jagiellońskiego. W r. 1914 brał udział w formacji wojskowej J. Piłsudskiego. Po wojnie był związany z radykalnym ruchem ludowym, należał do „Wyzwolenia” i wchodził do władz Centralnego Związku Kółek Rolniczych. Jako wybitny specjalista został powołany do Międzynarodowej Komisji Rolniczej przy Lidze Narodów. Prowadził wykłady na Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie i w tym charakterze wygłosił w r. 1928 na zjeździe pracowników społecznych w Warszawie ciekawy referat pt. „Ku drogom postępu społecznego wsi”, w którym wskazywał: „Wielkimi zawsze była i do dziś dnia jest upośledzona pod względem rozwoju życia społecznego... Poza koniecznością rozwoju oświaty na wsi niezbędne jest tam stworzenie warunków kulturalnych”. W r. 1928 został Boguszewski wybrany do senatu z lubelskiego okręgu wyborczego z sanacyjnej listy BBWR. Stopniowo jednak przekonywał się, że rzady sanacji prowadzą do faszyzmu i reakcji i wówczas nawiązał kontakty z KPP, a w czasie swego pobytu w Paryżu poznał H. Barbusse'a. Na posiedzeniu senatu 29 II 1932 r. wygłosił pamiętne przemówienie, w którym dokonał gruntownego przeanalizowania swych dotychczasowych przekonań i wystąpił do walki rewolucyjnej.

Wtedy też poznałem senatora Boguszewskiego w jego mieszkaniu w Warszawie na Grochowie. Wywarł na mnie duże i niezapomniane wrażenie. Wysocki, postawny, mocno już szpakowaty, zawsze starannie ubrany, był ciekawym współrozmówcą i umiał nawiązywać z nami, podówczas studentami lub absolwentami wyższych uczelni, bliskie, niemal przyjacielskie stosunki. Rozmowy z nim, proste i serdeczne, długo utrzymywały się w pamięci, choć praca przezeń prowadzona wymagała konspiracji.

Był przewodniczącym, powołanego z inspiracji KPP, Polskiego Komitetu Antywojennego i Antyfaszystowskiego, do którego należeli pisarze: Antonina Sokolicz, Emil Zegadłowicz i Leon Kruczkowski; znani uczeni: Stefan Czarnowski, Aleksander Rajchman, Władysław Spasowski; ówczesni posłowie komunistyczni na sejm: Rosenberg, Rożek i Ignasiak oraz przedstawiciele poszczególnych ugrupowań lewicowych.

W trudnych warunkach pracy na wpoli konspiracyjnej prowadził swą działalność senator Boguszewski. W całym kraju powstawały koła Komitetu, mimo wzrastających represji policyjnych i licznych aresztowań. Na terenie Lubelszczyzny działały koła w Zamościu, Łukowie, Puławach i in. miejscowościach. Boguszewski wyjeżdżał często w teren z odczytami i pogadankami, udzielał pomocy rodzinom więźniów politycznych.

W aktach dawnego archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zachowała się ciekawa relacja ówczesnego starosty grodzkiego w Lublinie o odczyty Boguszewskiego pt. „Ogniska wojny w świecie”, wygłoszonym w Lublinie w dn. 28 I 1933 r. na zaproszenie Związku Zawodowego Robotników Budowlanych. „Odczyt ten — czytamy w doniesieniu — należy uważać za bardzo misterną robotę KPP. Bardzo zwięzłe, w nadzwyczaj spokojnych zdaniach rzucano przez senatora Boguszewskiego myśl walki z wojną... znalazła bardzo podatny grunt wśród zebranych robotników. Odczyt taki jest niczym innym, jak torowanymi drogami dla rewolucji komunistycznej... Odczyt zgromadził ok. 230 osób, z całą pewnością pozostawił głębokie wrażenie i wytworzył w masach robotniczych, rozgoryczonych dzisiejszym kryzysem, nastrój przyjazny dla Sowietów, o co Boguszewskiemu chodziło. Wchodząca na salę Boguszewskiego powitano frenetycznymi oklaskami, nastrój dla mówcy przychylny”.

W swych przemówieniach wygłoszonych w senacie występował Boguszewski jako bojowy antyfaszysta, demaskując politykę rządów sanacyjnych oraz wskazując na rozkład ustroju

kapitalistycznego w Polsce. Siedziałem kiedyś na posiedzeniu w senacie, kiedy Boguszewski wygłaszał jedno ze swych rewolucyjnych przemówień. Słowa rzucane przezeń tonęły we wrzawie i wrogich okrzykach senatorów, ale Boguszewski spokojnie czekał na trybunie na podjęcie dalszej walki.

W czerwcu 1933 r. Boguszewski uczestniczył w składzie 9 osobowej delegacji polskiej w Europejskim Kongresie Antyfaszystowskim, który się

odbył w Paryżu w sali Pleyel, i został wybrany do Komitetu Wykonawczego Międzynarodowego Ruchu Antyfaszystowskiego. Po powrocie z nową energią podjął pracę, występując z „Listem otwartym w sprawie więźniów politycznych”, gdzie demaskował prowokacyjne procesy polityczne i przytaczał haniebne fakty bicia i maltretowania więźniów w czasie śledztwa. Demaskował i piętnował zawarcie w r. 1934 przez rząd sanacyjny paktu z Niemcami hitlerowskimi, wskazywał, że „niebezpieczeństwo wojny nigdy nie było tak bliskie jak teraz”.

Ujawniając faszystowski charakter projektu nowej konstytucji 1935 r., Boguszewski wzywał masy pracujące do utworzenia frontu ludowego w Polsce, do obalenia rządów sanacyjnych.

W końcu 1934 r. zaczął ukazywać się pod redakcją Boguszewskiego legalny dwutygodnik pod nazwą „Kolumna”, jako nieoficjalny organ Pol-

skiego Komitetu Antywojennego i Antyfaszystowskiego. „Kolumna” przestępowała społeczeństwo polskie przed niebezpieczeństwem polityki rządowej, przed niebezpieczeństwem wojny. W ostatnim, skonfiskowanym, 9 numerze „Kolumny” (z dn. 15 IV 1935 r.) Boguszewski pisał: „Błyskawiczny rozwój wydarzeń w polityce międzynarodowej... rozświetlił jeszcze jaskrawiej sytuację, pozwolił jeszcze dobitniej uwydatnić się tendencjom polityki zagranicznej państw europejskich... Zaostrzając się z dnia na dzień sytuacja międzynarodowa; szybka polaryzacja państw dokoła dwu biegunów — pokojowego i wojennego; obłądny bieg ku wojnie z jednej strony, nieugięta wola pokoju z drugiej; wola pokoju wsparta o rzeczywistość, materialną potęgę socjalizmu, silną poparciem ludów w krajach kapitalistycznych świadomością misji cywilizacyjnej”.

(Dokończenie na str. 8)

CHWILĘ trwał w sieni rumor, śmiechy, popychania. Przez otwarte z hałasem drzwi wiska się do izby gromada dziewcząt i chłopców poprzebieżanych w co się da. Usmarowane sadzami i buraczanym sokiem twarze, kwieciste spódnice do samej ziemi, strzępy włóczykowych szali, cylindry (naprawdę!), wasy i baczki korkowe — toż to cyganie! Ale dziwni cyganie, z „panną młodą” w prawdziwym welonie i „panem młodym” z ogromną czerwoną kokardą. Jest nawet harmonista i skrzypek cygański. Gospodyni usuwa stojący na drodze stołek. Do przodu wysuwa się „cygan” w potężnym cylindrze i białą kokardą. Chyba jakiś marszałek. Unosząc cylinder do góry pyta:

— Cy można tańcować?

— Tańcujcie! Cemuż by nie? — gospodyni uśmiecha się do mnie — Niech pan posłucha.

Marszałek z teatralnym szacunkiem zwraca się do panny młodej:

— Skąd pani?

— Z Krakowa.

— Cemu pani?

— Królowa.

— Cy pani ma męża?

— Nie.

— Chodź do tańca! Muzyka!

Nie, nie oberek, polka, czy inny ludowy taniec. Harmonista zaczyna marszem. Marszałek porywa „pannę młodą”, inni dobierają się parami. „Pan młody” podchodzi do gospodyni. Za chwilę tańczą wszyscy najpierw marsza, potem tango, walczyka i na końcu — tak, to przecież rytm rock and roll! Skrzypek cygański oczywiście nie gra, bo grać nie umie, skrzypce ma dla fasonu, teraz odłożył je i także tańczy. Nie minęło pół godziny, kiedy wszyscy, dziękując, wychodzą. Przez okno widać jak wchodzi do następnej chaty.

— Przecież to miało być wesele cygańskie? — pytam gospodyni.

— A i jest, ale pożenią młodych na końcu zabawy, będą tańczyć z sobą i pić gorzką wódkę. Ale poczekaj pan, przyjdzie tu jeszcze stary Ramotowski ze swoimi. To będzie uciecha!

Nie skończyliśmy jeść kolacji, którą gościnnie gospodyni uszykowała na poczekaniu (z pysznymi faworkami), kiedy do izby klócać się i bić wargnęły trzy cyrkowe postacie. Też ucharakteryzowane na cyganów, ale parodystycznie. „Pan młody” wysoki (oczywiście w cylindrze), szpakowate włosy podczernione na skroniach, czarne baczki z korka, oczywiście w cylindrze, „panna młoda” oszpecona komiczną charakterystyką i przebrany za kobietę mężczyzna grający rolę porzuconej kochanki. „Pan młody” odpycha rzucając się mu na szyję „kochankę” i wymyśla jej od pokrak, żab i innych stworów zoologicznych, po czym wchodzi z „panną młodą” do pokoju, zostawiając „kochankę” w kuchni. Śladają przy stole. Gospodarz nalewa w kieliszki wódki i częstuje nią przybyłych. Po wycięciu „młodzi” rozpoczynają dialog improwizowany, wyznają wzajemnie miłość. Wtedy wpada z kuchni „kochanka”: „nie puszczajciecie!” — krzyczy. „Pan młody” wstaje od stołu i wyrzuca ją do kuchni, używając przy tym niewybrednych środków, jak kopniaki itp. Wszyscy się śmieją, bo to rzeczywiście jest w jakiś sposób wesołe. Ale nie koniec przedstawienia. Jeszcze kłótnia „Panna młoda” wymyśla „młodemu”, że żeni się z nią tylko dla posagu. „Pan młody” przypomina, że „młoda” nie jest wcale młoda i powinna się cieszyć, że znalazła amatora na swoje wątpliwe wdzięki. Potem pogodzenie, przepiękne interludium z „kochanką”, w końcu wszyscy opuszczają dom podjędzeni i podpieni, bo ta forma

wesele cygańskiego odbywa się przy poczęstunku.

— Niech pan idzie — gospodyni wstaje od stołu — pokażę panu, gdzie będzie pan spał. Już późno, a rano chciał pan zobaczyć, jak „ziabele” szykują.

Rzeczywiście, już jedenasta! Szybko idę spać. W nocy śnią mi się cyganie śpiewający sprośne piosenki, potem coś mnie zaczęło dziobać, niby ptak, nie ptak, chce mnie porwać. Śladam na łóżku, przede mną podskakuje jakiś stwór z dziobem na pół metra, owłosiony jak baran, patrzę w dół — buty gospodarza. Gospodyni śmieje się ubawiona moim przestraszaniem, ja się też śmieję. Kle, kle — krzyczy głosem gospodarza ptaszysko; kożuch odwrócony włosem na wierzch spada, w rękę umocowane na kij wrzeczono od kołowrotka, czyli kulas od kolka imitujący dziób.

— U nas się bocianem dzieci straszy, ale widzę, że i pana można — śmieje się gospodarz. — To tak przed zapustami, aby pan wiedział, czym się ba-

Ziabele

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

wimy. A teraz dobranoc, na dzisiaj dziwów koniec.

„Ziabele”. Dookoła na kilkanaście kilometrów mówią: u nas to jeszcze nic, ot zwyczajno, jak w karnawale, młodzi się bawią. Ale w Radziłowie! Tam cuda można zobaczyć, a pocieszne jakie... Ziabele!

Otóż i te „ziabele”. Zwykle koło od wozu. Jan zawzięcie wierci dwa otwory naprzeciwległe. Do czego?

— Zobaczy pan. Zresztą już szykujemy. Kukły jeszcze wczoraj zrobione.

W tym roku tylko Jan robi. W poprzednich latach i inni „ziabele” szykowali, nawet sam sołtys. Za to teraz sołtys pomaga. Właśnie wynosi ze stodoły dwie słomiane kukły. Jedna przebrana za mężczyznę, w kapocie, w rękę trzyma butelkę wódki (oczywiście pustą).

— To jest Jan — sołtys znacząco mruga w kierunku Jana, który umocowuje kukłę w jednym z otworów. — A to Ziabele.

Ziabele w obszernej szubie umocowana zostaje w drugim otworze. Rece ma wyciągnięte w kierunku Jana (to nie żart z kolegi, kukłę rzeczywiście zwa Janem), w jednej pękaty list. Po co list?

— Ha, ha, wyznanie miłosne, panie. Podobno dawniej lślicki miłosne państwo wielmożni sobie wysyłali, powiedziec o tym nie wypadało, to i u nas tak zostało. Ale to na niby — tłumaczy mi Jan. — Mówią, że to na pamiętkę jednej panny z sąsiedniego dworu, Ziabele (aha, rozumiem, to chyba Izabela), która starą panną została. A ten dziad to starego kawalera udaje. No, gotowe! Dawaj konia!

Syn Jana, młody wyrostek, wyprowadza konia i zaprzęga do dyszla, do którego sołtys poziomo umocował koło. Potem wsiada na konia i wio! na drogę. I zaczęło się pocieszne widowisko. Momentalnie pełno dzieciaków, krzyki: „Ziabele! Stara panna! Jan! Stary dziad!” A „ziabele”? Koło odbijając się obręca o bruk wiruje, kukły obracając się na kole machają rękami, obejmują się, to biją. Widowisko niecodzienne.

Wieczorem gospodarz pyta o wrażenia.

— Wspaniale. Tylko dlaczego wszystkie obrzędowe widowiska są na temat zawierania małżeństw?

Gospodyni częstując pączkiem (wymienity, niech się cukiernicze schowają) odpowiada, że przecież po to człowiek żyje, żeby mieć dzieci, rodzinę. A karnawał to czas wesel. Dawniej tylko w karnawale pobierano się, kto n'e zdążył, rok musiał czekać. Dziś co innego, panny się tak nie śpieszą, niektóre uczyć się do miasta jadą, ale i tak mnóstwo uciechy, kiedy w popielec jakiemu kawalerowi czy pannie, szczególnie mniej lubianym, kłoca uwiążą z tyłu.

W tym momencie rozmowę przerwał kozi bek za oknami.

— O, ma pan i nie na temat małżeński — śmieje się gospodyni.

Do izby wskakuje koza. Za nią chłopiec bijąc ją ile sił kijem po plecach, aż dudni. I jeszcze kilku.

— Co ona tam ma, z tyłu?

— To przetak pod płachtą, żeby bardziej hałasowało.

Na rozmowę nie ma już czasu. Koza becząc i klapiąc szczęką podskakuje do stołu i chwytając drewnianą szczęką pączek. Chłopcy zaś zaczynają śpiewać:

Hoc, hoc dokoła,
skace koza wesola,
skace koza do pulapu,
a jej cycki chlapu, chlapu.
Skoc, kozuła, do policy,
da ci pani poledwicy,
Skoc, kozuła, do sieni,
da ci pani pieceni.

Oj w zapusty, w zapusty
nie chcą zdiady kapusty,
tylko same pierozki,
co nasrali jaloski.
Jestem bernard ubogi,
nie mam nic drogiego,
tylko trepki na nogi
z drzewa lipowego.

Kiedy koza obskakała wszystkie kąty i młodzi wyśpiewali wszystkie zwrotki (jest ich dużo więcej, a podobno co roku przybywają nowe), koza zwraca się do gospodarzy:

— Proszę dwa złotych okuc podkówekci.

Sowicie obdarowani przez gospodarzy zapustnym ciastem spieszną opuszczają gościnne progi.

— Szkoda, że pan nie jest kobietą. — mówi gospodyni. — Jutro jest środa popielcowa, to by i pan się, pobawił.

— A tak nie mogę?

— Nie. Jutro się bawią same kobiety. Najpierw pończochami napełnionymi popiołem okładają mężczyzn i zbierają od nich wykup, a potem za zebrane pieniądze kupują co trzeba i bawią się. Kiedyś jednemu gospodarzowi przywidziało się, że jego żona zbyt długo się bawi, przyszedł po nią, a bawiły się po sąsiedzku, to baby zatańcowały go aż do utraty tchu, a potem rozebrały prawie do naga i wyrzuciły na dwór! To nasza zabawa.

Trudno. Nie byłem. Za to długo będę pamiętał wesele cygańskie, kozi, ziabele, czy niedźwiedzia, o którym nie wspominałem bo znany wszędzie. A wszystko to widziałem w Radziłowie* w powiecie grajewskim, dużej wsi (która ongiś nawet była miasteczkiem), zradiofonizowanej, mającej własną, słynną od 50 lat orkiestrę dętą, szkołę itd. I jak tu uwierzyć tym, co biadała, że współczesna cywilizacja wypiera całkowicie obrzędy ludowe? Wypiera zabobony, wróżby, obrzędy, ale widowiska jeszcze się chyba długo na wsi polskiej ostaną.

* Miejscowość w regionie Mazowsza.

Roze- znanie

(Dokończenie ze str. 1)

pytanie, skąd świetna znajomość stosunków międzynarodowych przy dość ubogiej lub geograficznie ograniczonej znajomości sytuacji w kraju, padła jednobrzmiąca odpowiedź:

— Z radia. Radio podaje bardzo ciekawe i ciekawie wiadomości o świecie i ze świata. U nas zaś tylko się słyszy, że jeżdżą i zwiedzają fabryki, huty, kopalnie, szkoły. Każdy by chciał zwiedzać, nie? Żeby tylko było czym pojechać. Inne wiadomości jakos się zapominają, a tych ze świata — nie. Natomiast bardzo dobrze się wie to, co się dzieje w powiecie, jeszcze lepiej w gromadzie lub sąsiednich. O takich sprawach ciągle się mówi w domu, u znajomych, z sołtysiem, jak przychodzi z jakimś kwitem czy inną kartką, z prezesem tym czy innym.

Byliśmy zbudowani tymi wypowiedzianymi. Zaznaczam, że odpowiadający nie uchodzą w opinii publicznej za aktywnych przeciwników: jest to tak zwana kawalerka, dość niechętnie traktowana przez starszych i władze lokalne, zamieszkała w trzech sąsiadujących z sobą powiatach, tak zw. „kącice”. Odpowiedzi padały bez wysiłku, niemal bez zastanowienia, wybór formy zależał od uczestnika: ustnie lub na piśmie, każdy(a) odpowiadał(a) indywidualnie, bez świadków.

W tym samym „kącicu” rozpowszechniany jest taki oto fragment znakomitej Księgi Sybilli.

„...A znowu później nadejdą czasy upadku moralności wszelkiej, co po niewiastach łatwo rozpoznasz. Owo, niewiasty te z różnych rodów, bogatych i poślednich, poczną na oczach ludzkich kolor włosów zmieniać, a to na zielono, a to na żółto, a to na niebiesko, albo nawet i niektóre na ognisto, piekielne ognie przypominające, włosy nosić będą. A nie będą to peruki żadne, jeno najprawdziwsze włosy własne niewiście... Gdy farbowanie to i do gminu znajdzie, znak to będzie najprawdziwszy, że diabeł panowanie swoje na tej ziemi ugruntował...”

Praktyka uczy, że wszelkiego rodzaju prorocstwa, jak fragmenty z Księgi Sybilli, „cuda”, objawienia itp., idą nieodmiennie w parze z rozwijającą się działalnością polityczno-społeczną, kulturalną lub nawet zwyczajną zdrowotno-higieniczną.

Komentarz ten jest przytoczony na użytek sceptyków, którzy zapytają, jak zwykle, „skąd Księga Sybilli w środowisku tak bardzo upolitycznionym?”

A właśnie. Kiedy czytam utyskiwania na temat niskiego poziomu czytania, kiedy przytaczają tu i ówdzie fakty na tę okoliczność, padają liczby wskazujące niską liczbę egzemplarzy „Przeglądu Kulturalnego”, „Nowej Kultury” i innych pism literackich docierających do głębokiego zaplecza, natychmiast kojarzę sobie te cyfry z pewnym wydarzeniem, które miało miejsce w mojej okolicy. Otóż ludzie, których w żadnym wypadku nie można podejrzewać o czytanie „Przeglądu Kulturalnego”, powoływali się na znany artykuł prof. Schaffa, który wyścigał rękę do naszych katolików, ba, ofiarowywał dożgonną przyjaźń, lał wodę na miecze, przyrzekał harmonijne współdziałanie itd. Ludzie ci mieli nawet odpisy owego artykułu, obawiam się, że dokonane niezbyt ściśle, a przygwożdżeni na kłamstwie tłumaczyli się... pościpliem.

Czy młodzież jest dostatecznie upolityczniona?

Sięgnijmy do innych przykładów. W Cieślicach, powiat Kazimierza Wielka, koło ZMW założyło Kółko Rolnicze, a przewodniczącą kółka, dwudziestoletni człowiek, jest równocześnie energicznym prezesem tego Kółka. A więc inicjatywa społeczno-polityczna wyszła z szeregu młodzieży, a starzy, nie tylko się pogodzili z tym faktem, ale i milcząco przyjęli supremację młodych.

W Wolicy, powiat Pińczów, koło ZMW, nie rozporządzając świetlicą, płaci kierownikowi parafii 100 zł za wynajęcie lokalu, pod warunkiem atoli, że ani miejscowi księża, ani inne czynniki parafialne nie będą ingerować w wewnętrzne sprawy Koła. Być może, iż układ ten nie jest moralny, być może, iż po tym artykule jakaś instancja próbować będzie układ ten zawiesić. Rozmawiałem z młodymi ludźmi. Mają niezłe rozeznanie i „własną” politykę. — Trudno o lepszy przykład, proszę pana. — Przykład czego? — No, na potwierdzenie zasady „pecunia non olet”. Oficjalnie bowiem jesteśmy przez czynniki parafialne zwalczani...

Na konkurs literacki ogłoszony przez „Ponidzie”, „Słowo Ludu” i kielecki wydział kultury napłynęło kilkadziesiąt prac. Autorzy znacznej części to ludzie młodzi, pochodzący z małych miasteczek i wsi. Wszystkie prace są wyraźnie zaangażowane, wszystkie wskazują na wysokie upolitycznienie zarówno autorów, jak i środowiska.

Przykłady, które przytaczam, nie są zaczerpnięte z danych oficjalnych, nie mają pretensji do sugestii uogólniających, niemniej są znamienne, pochodzą z głębokiego terenu, są autentyczne. Oczywiście, można w tych samych miejscowościach, w Wolicy, w Cieśl-

icach, w setkach innych, odnaleźć bez trudności osoby, które działają wręcz przeciwnie, hamują postęp, bronią okopów św. Trójcy, ale są to właśnie przedstawiciele środowisk również wysoce politycznie uświadomionych, działających w pełni wiarą umysłowych.

Rozumie się, że upolitycznienie młodzieży nie idzie jeszcze w parze z jej postawą ofensywną, że atakowanie pozycji obskurantyzmu wymaga nie tylko pełnego rozeznania, lecz i środków, o które nie wszędzie łatwo, które nie wszędzie są jeszcze dostępne. Nie wszędzie dociera linia wysokiego napięcia, nie wszędzie są telewizory, radia, nie wszędzie działają naleźycie bibliotekarzy, nie wszędzie wreszcie naśladowany jest tak zwany „eksperyment węgrowski” (szkoła ośrodkiem życia kulturalnego).

Wracając do plenum ZG ZMW i do zagajenia Krystyny Gromkovej, która

domagała się, abyśmy pokazywali osiągnięcia PRL w dziedzinie kultury, konfrontując je z faktami zaczerpniętymi z dwudziestolecia, ośmielam się wyrazić pogląd, iż nie jest ważne sięgnięcie do historii, nawet tej nie pokrytej jeszcze patyną, albowiem konfrontacja taka nie jest przykrywająca dla pokolenia wychowanego w naszych obiektywnych warunkach.

Ważne natomiast jest to, abyśmy w oparciu o maksymalne rozeznanie stosunków panujących w terenie, szukali bardzo nowoczesnych form działania.

Wydaje się, iż poszukiwanie to idzie bardzo opieszale, gorzej, że sięgamy wciąż do arsenału starych, mocno wyświechtanych środków, które — brzmiało to oczywiście paradoksalnie — bynajmniej nie odpowiadają naszym bezspornym, wielkim osiągnięciom.

Waldemar Babinicz

PIĘKNO — ALE DLA KOGO?

BOLESŁAW BARTOSZEWICZ

KIEDY bierzemy do ręki książkę, decydujemy się na czytanie. To proste. Kiedy wybieramy się do kina, decydujemy się na oglądanie filmu. To też proste. Słowem: ilekroć chcemy spotkać się ze sztuką, ilekroć poddać się jej działaniu — podejmujemy określoną decyzję. A zatem od nas samych zależy, na ile i jak często uczestniczyć będziemy jako odbiorcy w procesie upowszechniania kultury. Dokonanie wyboru określonych treści jest więc tu naszą sprawą. Osobistą.

Jest jednakże dziedzina, z którą spotykamy się nieustannie, która na nas oddziaływała — czy chcemy tego, czy nie. Która nieustannie urabia nasz gust. Jest to estetyczny lub częściej nieestetyczny kształt przedmiotów codziennego użytku, od mebli poczynając, a na najmniejszych drobiazgach codziennej eksploatacji kończąc. Jest to sprawa tak bardzo codzienna, że aż często zapomina się o tym, iż jest ona jak najściślej związana z procesem upowszechniania kultury. Och, jakże często się o tym zapomina! Przez długie lata ludzie odpowiedzialni za losy upowszechniania kultury w Polsce, za rezultaty tego działania w sensie jego sprawdzalności w rozwoju społeczeństwa i jednostki — zgola nie interesowali się tym, jak wyglądają przedmioty nas otaczające. Teatr, kino, literatura, muzyka, plastyka na wystawach — na tym się kończył ów krąg zagadnień, które interesowały (niestety, jeszcze teraz tak jest) naszych działaczy kulturalnych. A tymczasem wokół nas często bywa brzydko, obscurnie, nieestetycznie. I dlatego walka o estetyzację naszych wnętrz mieszkalnych, naszych ubrań, czy wreszcie tysięcy innych przedmiotów, to walka o piękno na co dzień, o dobry smak.

*

Jeszcze przed kilku laty Polak, powracający z krótkiego pobytu za granicą, piał wprost z zachwytem z powodu kształtu węgierskich butelek, czeskich toreb podróżnych, szwedzkich telefonów. Zaskakiwały i zachwycaly barwy tam, gdzie oko przywykło tradycyjnie do bieli, a stołowe łyżki, małe, lecz za to solidnie głębokie, były dużo wygodniejsze w użyciu, niż wielkie, płaskie narzędzia, które trzeba z trudem pchać do ust. Jeśli coś w tym czasie zrobiło „markę” komisom i „ciuchom”, to właśnie kształty i barwy oferowanych przedmiotów. Inne niż krajowe. Ładniejsze.

W czasie, o którym tu mowa, samotne boje o estetyzację przedmiotów codziennego użytku toczył warszawski Instytut Wzornictwa Przemysłowego. Toczył — nie zawsze szczęśliwie. Trzeba było przełamać uprzedzenia, narosłą konwencję, przekonać wielu, że nowoczesne, do niczego dotychczas nie podobne figurki, dzbanuszki i stolki, sweterki i wdzianka, to nie wymysł chorej fantazji oderwanych od życia artystów-plastyków, lecz głęboko przemyślana, z prawdziwą odpowiedzialnością podjęta decyzja, oparta właśnie o znajomość potrzeb współczesności i kierunków rozwoju sztuki użytkowej. I kiedy wreszcie pojawiły się w handlu długo oczekiwane śliczne, proste, lekkie przedmioty codziennego użytku, stało się jasne, że narodził się oto nowy argument w naszej uciążliwej pracy nad upowszechnianiem kultury. Ar-

gument w walce o piękno na co dzień.

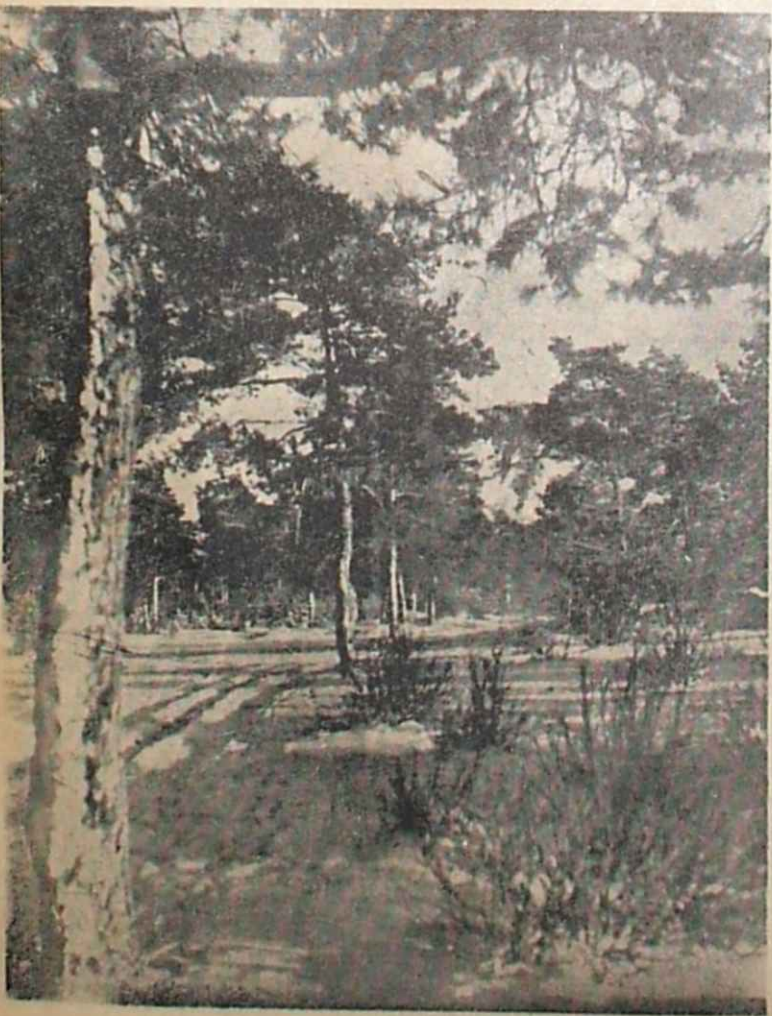
Sytuacja zmieniła się jeszcze bardziej na lepsze z chwilą powstania przy Prezydium Rady Ministrów specjalnej komórki fachowej, czuwającej nad estetyką produkcji. Pojawiały się więc i u nas ośmiotkatne butelki, aerodynamiczne radioaparaty, kolorowa bielizna pościelowa, eleganckie walizki. Palto kupione w pedecie, ale w stoisku zaopatrywanym przez IWP, gwarantuje dziś szyk, modny krój, skromność i smak. Coraz częściej omijamy sklepy CHPD, zastawione dużymi, ciężkimi meblami, ani ładnymi, ani wygodnymi, ani zwłaszcza możliwymi do ustawienia w małych nowych mieszkaniach. I tu powstaje problem. Omijamy bowiem te sklepy, ale jak ów bohater Viktora Hugo, nigdzie nie możemy znaleźć przystani. Sklepy, gdzie można by nabyć meble zaprojektowane przez artystów, a przy tym tanie, właściwie nie istnieją. „Piękne mebelki pięknie kosztują” — taka jest logika tej sprawy.

Pisano już w prasie na ten temat; trudność mianowicie polega na tym, że projektów IWP, godnych największej pochwały, nie chce wziąć przemysł meblarski do produkcji masowej. Boi się ryzyka. Ludzie, za ową produkcję odpowiedzialni, jakoś nijak nie potrafią zrozumieć, że to nie tylko żadne ryzyko, lecz wręcz prawdziwa szansa. Zastanawiają się takim oto pseudo-argumentem: „kliencki chcą mebli solidnych. Mocnych i blyszczących. Jeśli za takie meble płać solidnie, to przynajmniej wiedzą dlaczego”. Jest to oczywista bzdura. Drobnomieszczański klient szuka takich mebli, to fakt, to się mieści w jego pojmowaniu piękna i w ogóle świata. Drobnomieszczański konsument trawi również widowiskowo szmirę — a niekiedy nawet jej szuka. Wystarczy przypomnieć, jakim powodzeniem cieszą się określone imprezy estradowe. Ale z tego powodu nie tylko nie rezygnujemy z upowszechniania dobrej sztuki, lecz — przeciwnie. Właśnie to nakłada na naszą politykę kulturalną tym większe obowiązki.

Tymczasem zaś w dziedzinie upowszechniania piękna plastycznego panuje u nas ciągle jakaś połowiczność. Jest IWP, jego wzory i piękne przedmioty, ale z drugiej strony są graty CHPD, najbardziej lansowane i w największym produkowane nakładzie, a domy towarowe posiadają w sprzedaży — pod bokiem stoisk artystycznych — niesłychanie wprost tragiczne lampy na biurka, malowane abażury i żenujące szklane żyrandole.

Sam Instytut Wzornictwa Przemysłowego — choć tak zasłużony — sprawy do końca nie załatwił. Wprawdzie coraz więcej absolwentów wyższych szkół plastycznych chciałoby rozpocząć pracę w dziedzinie wzornictwa przemysłowego bezpośrednio w zakładach produkcyjnych, ale kierownictwa poszczególnych zakładów, produkujących sprzęt codziennego użytku, o tym nie wiedzą i w ogóle tym się nie interesują. „Fabryka mebli w Świebodzicach koło Świdnicy — pisał do mnie znajomy z Dolnego Śląska — rozpoczęła produkcję ładnych mebli nowoczesnych. Nadają się one zarówno do wnętrza mieszkalnych, jak i na przykład do klubów. Stało się to możliwe, ponieważ świebodzicka fabryka zatrud-

(Dokończenie na str. 12)



PIĘKNO ZIEMI BIAŁOSTOCKIEJ — FOT. J. BEREZANSKI

»Łączy nas wspólny cel«

M. PAŁKIN



LATA 60—70 minionego stulecia — to czasy pojawienia się na arenie politycznej i kulturalnej wybitnych kobiet-rewolucjonistek. W szpitalu Garibaldiego pracuje Aleksandra Tollwiera, do Paryża wyjeżdża Elżbieta Kuszulowa-Tomaszewska (Dmitrowa) i Anna Korwin-Krukowska, służą narodowi francuskiemu Paulina Mękarska i Ladojska-Kawecka, w klubach Montmartre'u przejmują niepokojem ludzi pracy gorące przemówienia Luizy Michel. A po upływie 10 lat Zofia Perowska, wążła i czuła na ludzką krzywdę, kieruje grupami zamachowców.

Do tej plejady, która odeszła „od triumfujących i paplających”, należała Anna Pustowojtówna.

Urodziła się 12 czerwca 1843 roku w Wierzchowiskach, w majątku swego ojca generała armii rosyjskiej Teofila Pustowojtowa, którego żoną była piękna Kossakowska. Nad kolebką dziecka śpiewano polskie piosenki, będąc podłotkiem Anna przejmowała się opowiadaniem o narodach męczennikach, cierpiących nad brzegami Wolgi, Dniepru, Wisły. W Puławskim Instytucie dla dziewcząt „wysoko urodzonych” Anna interesowała się kronikami Polski, historią rewolucji francuskiej, marzyła o walce za szczęście ludzi pokrzywdzonych.

Postępowi Rosjanie odwiedzający dom generała wyrażali swoje współczucie z ruchem wyzwoleniczym Polaków, oddziaływali na kształtowanie się poglądów wychowawcy państwowego zakładu. Anna zadziwiała czytaniem; o piękności i wdzięku Pustowojtówny krążyły legendy, ale najważniejszą jej cechą była bezgraniczna nienawiść do społecznego i narodowego ucisku i gotowość do poświęceń.

Marzyła o Oksfordzie i Muzeum Brytyjskim, lecz burzliwy tok wydarzeń ostatecznie zdecydował o miejscu Anny w warszawskim kółku ga-

ribaldczyków, gdzie zacieśnia się przyjaźń Pustowojtówny z Jarosławem Dąbrowskim, Walerym Wróblewskim i Antonim Berezowskim. Polscy garibaldzcy uczestniczyli w pochodzie „tysiąca”, Marian Langiewicz założył w Genewie szkołę wojskową. Odgłosy powstania 1863 r. dawały się już odczuć. Powstały tajne kółka. Wiersze Puszkina i Lermontowa, Mickiewicza i Słowackiego od dawna wzywały do szturmu na zniechęcony carat. Pustowojtówna, w odróżnieniu od większości swoich rówieśniczek, nie ograniczała się tylko do recytowania poezji. W Lublinie, w domu swojej babci, zbierała zwolenników, przygotowywała manifestacje patriotyczne. W ruchu młodzieży szlacheckiej wyłania się lewe skrzydło.

„Cierpliwość” namiestnika Królestwa Polskiego, gen. Suchozaneta, w stosunku do córki generała Pustowojtowa wkrótce się wyczerpała. Buntowniczkę Pustowojtównę zesłano do jednego z moskiewskich klasztorów. Lekarze polscy złożyli wniosek o ciężkiej chorobie Anny, przyczyniając się w ten sposób do złagodzenia sytuacji młodej rewolucjonistki. Gdy na miejsce Suchozaneta przyszedł bardziej tolerancyjny Lambert, stwierdził on po zapoznaniu się z dokumentami, że Pustowojtówna została ochrzczona dwukrotnie: raz w cerkwi i po raz drugi w kościele**. W metrykach daty się nie pokrywały, rozpoczęło się więc dochodzenie w tej sprawie. Zezwolono Annie na tymczasowy pobyt w Żytomierzu.

W przybrzeżnych zaroślach rzeki Tietierew rodacy słuchali płomiennych opowiadań Pustowojtówny o współpracy polskich, rosyjskich i ukraińskich demokratów walczących o wolność Polski. Wszehwidzące oko żandarmerii dostrzegło „wroga

* Pustowojtówna nie uczestniczyła w tym pochodzie.
** W metryce katolickiej figurowało imię Henryka.

pitalizmu, do wprowadzenia ustroju socjalistycznego”.

Składając swą ostatnią deklarację, przerywaną przez marszałka senatu i reakcyjnych senatorów, Boguszewski zdawał sobie sprawę z niechybnych represji, które go mogą spotkać. Wkrótce też po rozwiązaniu senatu został aresztowany i osadzony w więzieniu, mimo groźnego stanu zdrowia i podeszłego wieku. Nawet w więzieniu bronił swych poglądów i odmawiał zdecydowanie złożenia żądanej deklaracji potępiającej ruch rewolucyjny. Lekarze stwierdzali coraz bardziej pogarszający się stan zdrowia i wskazywali na konieczność operacji. Po operacji Boguszewski zmarł na początku kwietnia 1938 r.

Był to człowiek o niezwyklej szlachetności, odważny i nie znający kompromisów, którego cechowała wiara w postęp społeczny, optymizm i niezwykły hart ducha. Był zawsze człowiekiem ideowym, który szukał odpowiedzi na wiele nurtujących go pytań, szukał wyjścia dla Polski z niebezpieczeństwa wojny, w jakim wkrótce po jego śmierci znalazła się w tragicznej katastrofie wrześniowej.

Wierzył w masy społeczne, w ich twórczą rolę historyczną i choć nie doczekał się realizacji swych słów, stał się rewolucyjnym bojownikiem o Polskę socjalistyczną.

Michał Szulkin

działalność” Anny w Żytomierzu. Namiestnik postanowił srogo rozprawić się z Pustowojtówną: osadził dziewczynę w klasztorze w Kostromie, bo metropolita Filaret sprzeciwił się pobytowi katoliczki w klasztorze moskiewskim.

Na skutek wielu starań „podróż” do Kostromy została odroczone do wiosny 1862 r. Tymczasem przyjaciele zorganizowali przejście przez granicę austriacką.

Zbliżało się powstanie 1863 roku. Pustowojtówna, umiejętnie przestrzegając zasad konspiracji, wróciła do Polski, wstąpiła do oddziału Langiewicza, została jego adiutantem i brała udział w walkach.

Opisy życia bohaterskiej dziewczyny-zołnierza znalazły się na łamach pism rosyjskich i zagranicznych.

Reakcyjny publicysta E. Korolenko, w wydanej przez siebie książce pt. „Z okazji świeżych wydarzeń w Polsce”, podniósł wrzask: „A dlaczegoż to Pustowojtówna z Rosjanki stała się nagle Polką... która gardząc wrodzonym poczuciem kobiecości ośmieliła się wystąpić przeciwko braciom ojca swego!”

Pustowojtówna nie była wyjątkiem. W podziemiu i w armii powstańczej było wielu synów narodów Rosji. Dnia 26 czerwca 1862 r. rozstrzelani zostali oficerowie armii rosyjskiej — Lotysz Jan Arngold i Ukraińiec Piotr Sliwicki. 4 marca 1863 zginął śmiercią bohaterską rosyjski oficer Andrzej Potiebniak, który związał swój los z polskim ruchem rewolucyjnym. Myśli i nadzieje tych bohaterów z całą jaskrawością wyraził Hercen, który pisał: „Jesteśmy z Polakami dlatego, że walczymy o Rosję. Jesteśmy z Polakami dlatego, że jesteśmy Rosjanami. Chcemy niepodległej Polski dlatego, że chcemy wolności Rosji. Jesteśmy z Polakami dlatego, że łączy nas wspólny cel”.

Anna Pustowojtówna znalazła się w awangardzie tej grupy. Langiewicz powierzał zdolnej dziewczynie ważne zadania, których wykonanie wymaga-

(Dokończenie na str. 9)

PAMIĘTNIK NIEZWYKŁY PISANY W LUBLINIE

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

...boję się snów — nie wiem, jak to jest możliwe, że boję się snów, a nie bałam się ani razu rzeczywistości.

„Podnoszę głowę; na cie nieba kontury starej baszty. Zamek lubelski. Siedem miesięcy więzienia poza mną — dni, których nie chcę pamiętać, nie chcę o nich nie wiedzieć, chcę zapomnieć...
We mnie burza uczuć. Hełz razy w nas grało morze sprzecznych uczuć, od jasnej wiary we własne szczęście, w sprawiedliwość, która musi zwyciężyć, poprzez płomień palącej tęsknoty, do czarnej jak chmura obawy, co będzie, do łuku najgorszego ze wszystkich: lęku przed nieznanym”.

Pamiętnik Wandy Półtawskiej „I boję się snów” otwiera drzwi, które już od dawna powinny być otwarte, mówi o losach kobiet z Lubelszczyzny wysiedlonych z wyrokiem śmierci do Ravensbrück i tam podanych eksperymentom medycznym. Rekopis przeleżał od 1945 roku na dnie szuflady, chociaż mógł i powinien być argumentem oskarżenia podczas pierwszego procesu w Norymberdze i materiałem informującym świat o jeszcze jednej odmianie zbrodni hitlerowskich.

Trzeba powiedzieć na wstępie, że nie jest to — mimo straszliwego tematu — lektura pesymistyczna, czy przynębiająca. Przeciwnie. W opisie postaw autorki i jej otoczenia tkwi twardość i siła ludzi skupionych od początku do końca na idei samoobrony, silnych moralnie, świadomych. Walka na śmierć i życie. Wyrok towarzyszący lubelskiemu transportowi wykonywano systematycznie, bez pośpiechu, z ohydą „gospodarską” chęcią wykorzystania skazanych, jako obiektów doświadczalnych.

Dr Półtawska mówi świeżość i bezpośredniość opisu chwilami zupełnie wyjątkową, co sprawia, że lektura wlega stopniowo coraz bardziej. Jej pamiętnik zasługuje na szerokie rozpowszechnienie; zrozumiały będzie zarówno dla inteligencji, jak dla kobiet wiejskich pamiętających aresztowania, cenny dla młodzieży.

Sprawa eksperymentów medycznych dokonanych w Ravensbrück na bardzo młodych kobietach z Polski nie była nigdy dostatecznie podkreślona, mimo że jej walor oskarżycielski jest ogromny. Za późno wzywano do złozenia zemsta, gdy już opadł niew sprawiedliwy i miedzy narodowa gotowosc zniszczenia jadow hitlerizmu, irak-towane czasem w naszych urzedach z dziwna nieufnoscia, pozostawione czesto wlasnemu losowi, kobiety te milczaly. Mialo to swój wpływ na wiele przesadów i nieporozumień (ze wspomne tylko teorie głoszona coraz szerzej, iż przetrwać obóz koncentracyjny mogli tylko ten, kto dał się złamać, uległ hitleryzmowi). Wyżnanie dr Półtawskiej od początku do końca zaprzecza temu twierdzeniu, nie polemizując oczywiście z nikim.

Epizod z czasów okupacji

(Dokończenie ze str. 4)

chwili drzwi się otworzy, w progu stanęli żołnierze niemieccy. Stanęłam tak, aby zasłonić łóżko, na które tow. Beres zrzucił kapę. Następnie, gdy ja byłam zajęta rozmową z Niemcami, o chorym dziecku, demonstrując znowu na dowód butelkę, tow. Beres zabrał literaturę wraz z kapą i wyjął miłko do butelki, ręce drżały. Było mi przykro, że napaściłam im tyle strachu swoim przybyciem, wiedzieli, że nie przychodzę do nich z wizytą kurtuazyjną, a mimo w tej sytuacji nie przyszła żadna myśl, jak wybrnąć z sytuacji, w jakiej się znalazłam.

Byłam szczęśliwa, że wszystko udało się w końcu dobrze i oto wkładam rękę do kieszeni po portfel, aby zapłacić za mleko i uświadamić sobie, że portfel i kennakarta pozostały w piasku, który zjechał przed wyjściem z domu. Na domiar złego podzieli żołnierze nie chcieli mnie wypuścić, zapraszając do siebie na libację. Dopiero na interwencję tow. Beresia udało mi się pozbyć ich natrętnego towarzystwa, lecz pozostało mi tylko dwadzieścia minut do godziny politycznej. Gdy zbliżałam się do miasta, wybiła godzina osiemnasta. Bez żadnego dowodu, z butelką mleka w torbie musiałam przejść przez całe miasto i dzielnicę niemiecką na ul. Jagiellońska, gdzie wówczas mieszkaliśmy nielegalnie u tow. Miąsików. Zdałam sobie sprawę, że „tylko spróbać może mnie uratować”. Szłam więc wolno, a gdy widziałam nadchodzące patrole, z taką swobodą i obojętnością oglądałam wystawy sklepów, że nie przyszło im nawet na myśl, że mogłabym nie mieć przepustki zezwalającej na przebywanie na mieście po godzinie politycznej, nie mówiąc o dowodzie osobistym. O godzinie 18:00 byłam w domu i jeszcze raz udowodniłam mężowi i towarzyszom, że tylko dzięki temu, iż Niemcy nie doceniają roli kobiet w życiu społecznym politycznym udało mi się i tym razem wyjść szczęśliwie z opresji.

Aniela Czech

Postać samoobrony psychicznej od pierwszych myśli pamiętnika, na te wiosny w Lublinie w kwietniu 1945 roku, czyniła postać absolutnie bezgranicznie wobec tego wszytkiego, co się stało. To jakby Anna Frank obserwująca przez okno pierwszy symptom wiosny 1944 roku. Zbieżność pokrewieństwa pewnych relacji sprawiła, że przestajemy widzieć Annę Frank, Wandę Półtawską — widzimy z nią i o niej i o któregoś nienawidził i zabijał hitlerysty.

Pamiętnik Wandy Półtawskiej jest podobny do najlepszych filmów Bergmana. Dramat narasta z każdą kartką tekstu, sprawa eksperymentów staje się stopniowo sprawą całego obozu i gdy wreszcie, już u schyłku wojny, rozgrywa się ta niezwykle scena zbiorowa (wreć nieprawdopodobna, gdyby nie fakt bezsporny, że jest autentyczna), kiedy tłum głodnych, steranych, wyjących kobiet przybyłych do Ravensbrück z Oświęcimia rażą się na kordon SS-manów i w tulumie pozwala uciec osaczonym pacjentkom — punkt kulminacyjny pamiętnika zostaje osiągnięty.

Wkrótce potem zaczyna się odprężenie końca wojny, sceny powrotu przez ukwiecone okolice, między zdziwionymi ludźmi. I po latach, w ciągu których młoda dziewczyna została lekarką chorób psychicznych, jakby szukając w pracy zawodowej odpowiedź na wielkie pytanie wyniesione z Ravensbrück — wraca znowu jesienią 1946 roku, w eleganckim hotelu Berlina — jeden z koszmarnych obrazów z obozu — sen o rozstrzelaniu, watek wtopiony na zawsze w system nerwowy współczesnego człowieka, leitmotiv całego pamiętnika.

„W nocy śnił mi się ten krzak róży, opłakanie taki sam, jak w dzień. Było tak jak rano: gorące, przypiekające słońce. Siłiliśmy w piątce nad tym różanym krzakiem, aż nagle zrobiło mi się zimno. Zadrzałam. Objeźdzałam się i... zamarłam; a wyłotu z tego anguśtu stało pięciu esesmanów z wywołanymi w nas karabinami”.

A dalej:
„Chodźmy po muzeach, oglądamy otrzymane frontony świątyn w Pergamon Museum, galerie obrazów, wszystko, co można zobaczyć. Zwiedzamy szpitale. Staram się wszędzie zobaczyć ludzi, ale ulicę przyglądam się roześmianym młodzieży i myślę: Przecież to taka sama młodzież jak nasza.”

Zaglądam do wózków dziecięcych: takie same okragłe buzie, kobiety stare, tak samo strokane... Powoli zaczynam usmiechać się do tych ludzi... odpowiadają mi te uśmiechy...”

Pamiętnik „I boję się snów” jest bardzo ciekawą i cenną pozycją „Czytelnika”, rzuca światło na szczególnie okrutne prześladowania ludności Lubelszczyzny. Znajduje sobie nie tylko gorących zwolenników, ale przyjaciół zarówno w kraju, jak i zagranicą. Te książki warto przeczytać wspólnie z młodzieżą.

Seweryna Szmaglewska

SENATOR BOGUSZEWSKI

(Dokończenie ze str. 6)

Mimo przestróg faszyzacja życia politycznego i społecznego w Polsce postępowała naprzód. W ostatnim swym przemówieniu, wygłoszonym w senacie w dn. 4 VII 1935 r., Boguszewski wskazywał: „Faszyzm, ukrywający się dotychczas wstydliwie, aczkolwiek poza ramami obowiązującej do niedawna konstytucji, odsonił swe właściwe oblicze... Pomimo jednak tak starannie wykonanej roboty, usiłującej prześliczną w swej precyzji wzory faszyzmu włoskiego, a nawet największych prowokatorów świata, hitlerowców, faszyzm polski pod naporem antyfaszystowskiego frontu, opartego na masach robotniczych, chłopskich, pracującej inteligencji i drobnego mieszczaństwa upaść musi... My antyfaszyści będziemy walczyli przeciw faszyzmowi, przeciw konstytucji i ordynacji wyborczej, jako jego przejawom, przeciw przygotowywanej przez faszyzm wojnie, przeciw widomej głowie faszyzmu w Polsce rządowi polskiemu; będziemy walczyli aż do ostatniego zwycięstwa, to znaczy do objęcia władzy przez robotników i chłopów, do zniweczenia ka-

Diminuendo

Blurko
w kolumnkach — masztach
z szufladami — szalupami
póteczkami — pokładami
czteronożna arka
nocą
odpływało w nie
przez wzburzony parkiet.

Holowały wróble, gile
skorki, czyżki
nawet szpaki
i gołębie
w śniegu strzępki żagle
karta w krąg
a za krąg
ziarnem liter porowate
kielkowały traw zająłki
na nieznanym wyspie
książki.

Spacer łąki

Z cyklu „Ziola lubelskie”

Nad obłoków zmiennym wzorem
w tkance blasku
słońce zdartym parasolem
opędzało się od wiatru.

Pod nóżkami stających
szaleńczyły trawy
kotki
strojny krwawnik
areydział
tonka
starczyk
i tymotka.
Szyły te nóżki cienkie, chude
postrzępione szczęcią lichą
bosę nóżki w czas kwitnienia,
a nad nimi tylko
tarcze o zbiegających brzegach —
oczy — ścinki nieba.
Pracowicie w czas i w cień,
nóżki, oczy, tarcz obroty,
jeszcze jastrun złotokwiat
z pięćfornikiem za pan brat —
idzie łąka.

Twarze
za szybą

(Dokończenie ze str. 5)

Były lata, w których odpływ ludzi
znacznie przewyższał przyrost natu-
ralny, następował niejako deficyt w
tym zakresie. W roku 1951 odeszło
ze wsi 710 tysięcy ludzi wobec przy-
bytku 282 tysięcy osób będących
efektem przyrostu naturalnego. Po-
dobnie, chociaż w mniejszym stopniu,
deficytowe były lata 1955 i 1958. Na-
tomiasz w ostatnim okresie nastąpiła
pewna stabilizacja i liczba określająca
ilość chłopów emigrujących do miasta
jest nieco mniejsza od liczby wskazu-
jącej na wielkość przyrostu natural-
nego na wsi.

Starzenie się produkcyjnej części
wiejskiego społeczeństwa jest na pew-
no negatywnym zjawiskiem, oznacza
bowiem skostnienie w dziedzinie me-
tod gospodarki, stagnację w całym
życiu wsi. No cóż, miasto wabi mło-
dego człowieka, a wieś nie potrafi
skutecznie temu przeciwdziałać. Trud-
ności mieszkaniowe, zapóźnienie kultu-
ralne, brak pracy, a przede wszystkim
uporczywe trzymanie się przez star-
sze pokolenie kierowania gospodarką,
skłaniają w kierunku odejścia do
miasta, chociaż obecnie nie jest to
już takie proste jak do niedawna.

Starzy ludzie kurczowo trzymają się
rol, gospodarzą byle jak, aby tylko
do końca, możliwie najdłużej, być
kimś, liczyć się. Gospodarz to brzmie
dumnie. A wraz z oddaniem ziemi
dzieciom kończy się tu samodzielny
etap życia, rozpoczyna się beznadziej-
na, męcząca wegetacja. Ludzie tego
się boją, tej niepewności, co będzie
potem, jak będzie. Dlatego młodym
trudno zyskać udział w kierowaniu
gospodarką, muszą o to staczać cięż-
kie boje i wielu rezygnuje przed
osiągnięciem celu. Sprawy te rozwi-
kłać może dalsze zmniejszenie chłon-
ności miast oraz zapewnienie warun-
ków bytowych na wsi ludzom sta-
rym. Dopiero wtedy obniży się średni
wiek rolnika, a do gospodarki wejdą
młode siły, zdolne przeforsować rady-
kalne zmiany.

Jacek Wojciechowski

(Dokończenie ze str. 1)

najbardziej odpowiedzialnych funkcji.
Rentowność w okresie studiów do ter-
minowe zdawanie kolokwium i egza-
minów, to ich normalne ukończenie
w ciągu 5 lat. Jak ta sprawa wy-
gląda na UMCS? Z wielu udostępnio-
nych mi materiałów przekazuję tylko
dwa, chyba najbardziej charaktery-
styczne zestawienia, zakończone zbior-
czą tabelą za dwa ostatnie lata.

Oto wyniki końcowych egzaminów
za rok akademicki 1961/62 według
kierunków i lat studiów. Można by
tu dodać trochę nie najbardziej po-
chlebnych dla młodzieży studenckiej
uwag o tym, ile razy wielu studentów
te egzaminy zdawało — no, ale liczy
się ostateczny wynik. I jeszcze jedno
wyjaśnienie pozornego paradoksu: na
historii IV rok ma 111 procent.
Wzięło się to stąd, że w ciągu roku
przybyło z innych uczelni więcej stu-
diujących niż z różnych przyczyn uby-
ło. Tabela zaś wygląda tak (w procent-
tach — stosunek kończących rok do
zaczynających):

Rok	Pra- wo	Filo- logia pols- ka	His- toria	Peda- gogika	Arche- ologia	Etno- grafia	Matema- tyka	Fizy- ka	Chemia	Bio- logia	Mikro- biolo- gia	Geo- grafia
I	90,3	90,1	74,0	100,0	100,0	100,0	41,0	84,3	67,1	90,6	100,0	87,0
II	73,8	96,1	79,5	100,0	100,0	100,0	80,6	93,3	73,6	87,8	100,0	88,9
III	80,1	91,3	97,4	100,0	100,0	—	100,0	74,2	100,0	100,0	100,0	100,0
IV	84,1	100,0	111,1	100,0	—	—	92,0	96,4	86,8	100,0	91,3	100,0
V	100,0	100,0	96,4	100,0	—	—	100,0	100,0	94,7	100,0	100,0	100,0

Ogółem zaś przeciętna dla kierunku studiów:

84,8 94,6 90,9 100,0 100,0 100,0 71,0 87,9 81,0 94,8 97,9 93,7

No cóż — można by tu sugerować
wiele wniosków, poczynając od nie-
przygotowania studentów matematyki
przez szkoły średnie do niespodziewa-
nych trudności, jakie stwarza
na drugim roku prawo rzymskie. Stu-
dentowe wyniki na trzech kierun-
kach w skali całej uczelni nie odgry-
wają większej roli — pedagogikę stu-
diuje 67 osób, utworzoną przed trze-
miema laty archeologię tylko 17, a etno-
ografię na dwóch latach zaledwie 10.
I dlatego za najbardziej przyjemną
niespodziankę należy uznać mikrobiolo-
gię, gdzie na 144 studentów (i stu-
dentek) egzaminy końcowe oblało tyl-
ko 2, a 1 odpadł w ciągu roku. Po-
nieważ jednak chodzi mi o wnioski
ogólne, dalsze szczegółowe rozważa-
nia pozostawiam czytelnikowi, pre-
zentując następną z kolei tabelę. Wy-
kazuje ona — również procentowo —
wyniki egzaminów końcowych według
wydziałów UMCS i lat studiów:

Rok	Prawo	Humani- styka	Matema- tyka Fizyka Chemia	Bio- logia i Na- uka o Ziemi
I	90,3	86,1	60,0	92,1
II	73,8	93,6	80,5	91,3
III	80,1	95,1	61,7	100,0
IV	84,1	100,0	91,2	97,5
V	100,0	98,3	97,4	100,0

Ogółem przeciętna dla wydziału:

Razem: 84,8 94,2 79,3 95,5

No i wreszcie ostatnia tabela, wy-
kazująca zbiorcze wyniki dwóch ostat-»ŁĄCZY NAS
WSPÓLNY CEL«

(Dokończenie ze str. 8)

gąlo trafnej oceny sytuacji, inicjatywy
i odwagi. Przez bagna i leśne werte-
py wyprowadziła ona oddział po-
wstańcy Dionizjusza Czachowskiego,
który połączył się z głównymi siłami
Langiewicza. W pamiętnym dniu
bitwy pod Grochowiskami Pustowoj-
tówna walczyła jak żołnierz, porywa-
jąc do walki zmęczonych powstań-
ców. Zachowała ona mężną postawę
wobec klęski armii powstańczej i pod
dowództwem Czachowskiego wytrwa-
ła w walce aż do końca. 28 listopada
dostała się do niewoli, skierowana
została do Radomia, następnie do
Warszawy i osadzona w Cytadeli,
gdzie znajdował się też Dąbrowski.

Następne koleje jej życia: nieobjęte
obszary Rosji, iskrzące w słońcu śnie-
gi, więzienia etapowe, wreszcie ze-
słanie w 1864 roku do miejscowości
Ustugi Wielkie. Te przeżycia i cier-
pienia nie zalały jednak Pustowoj-
tówny. Po wydaniu przez cara mani-
festu „O zwolnieniu zesłanych Pola-
ków” (1867 rok) Pustowojtówna zosta-
ła zwolniona i wyjechała do Szwaj-
carii, a później zamieszkała we Fran-
cji.

Student — inwestycja kosztowna

nich lat, co posłuży do ostatecznej
konkluzji:

Rok	1960 1961	1961 1962
I	86,4	79,7
II	84,8	83,5
III	92,1	91,0
IV	88,6	84,1
V	100,0	99,2

Ogółem przeciętna roku akad.:

86,7 87,7

Jak widać, w ostatnim roku nastą-
piła mała poprawa, co oczywiście na-
pawa pewnym optymizmem. Nie zmie-
nia to jednak faktu, że w ostatecznym
wyniku co roku odpada 13 proc. stu-
diujących. Uczelnia, niestety, nie dys-
ponuje dokładniejszymi badaniami
na temat efektywności studiów (np.

Oczywiście — profesorzy i asystenci
bliżej studenta. Hasło nienowe. Ale
czy przypadkiem zbyt wiele nie żąda-
my od 18-letniego człowieka? Czy nie
byłaby wskazana jakaś bliższa współ-
praca pomiędzy uczelnią a rodzicami,
którzy często dopiero po oblaeniu roku
dowiadują się, że ich rzekomo dojrz-
ała pociecha zajmowała się wprowadzie-
niami ciekawymi sprawami, ale naukę
najmniej?

Warto również zastanowić się nad
możliwością wprowadzenia pewnej od-
płatności od tych studentów, którzy z
własnej winy nie ukończyli pomyslnie
roku. Oczywiście trzeba wyłączyć dłu-
gotrwale choroby czy inne wypadki
losowe, powodujące dłuższe przerwy
w nauce. Osobiście jednak, mimo że
konstytucja przewiduje bezpłatną
naukę, nie widzę przeszkody w takim
właśnie rozwiązaniu sprawy. Konstytu-
cja jest przecież zachowana — stu-
dent miał pełną możność skorzystania
z jej dobrodziejstwa. Jeżeli jednak te
szanse sam zmarnował, jeżeli przejął
— nie chcąc nie sugerować o picie —
tysiące złotych, które na niego wydat-
kuje całe społeczeństwo, nie widzę po-
wodu, aby lekką rączką płacić ponow-
nie ciężko zapracowane przez nas pie-
niądze. Mam głębokie przekonanie, że
w takim stanowisku wcale nie jestem
odosobniony. To przecież prosty rachunek
ekonomiczny.

Zresztą podobnie należałoby posta-
wić sprawę pełnej odpłatności od tych,
którzy przeskakują z wydziału na wy-
dział. Typowym tego przykładem jest
— w innych miastach — politechnika,
u nas Akademia Medyczna. Gdy nie
uda się przebrnąć przez egzamin
wstępny, młody człowiek zgłasza się
tam, gdzie brak dostatecznej liczby
kandydatów, albo gdzie zdać łatwiej.
Z góry wie, że za rok porzuci ten kie-
runek, nie myśląc, że taki ekspery-
ment kosztuje społeczeństwo 25 tys. zł.
Po roku próbuje ponownie. Znam wy-
padki, że na Akademii Medycznej w
Lublinie zdawali nawet studenci trze-
ciego roku innych kierunków studiów.
To prawda, że w samej Akademii nie
można przeczucić się z wydziału far-
maceutycznego na lekarski. Ale prze-
cież jest kilkadziesiąt innych uczelni
do wyboru. Takie „przerzuty” wcale
nie należą do rzadkości. Oczywiście
może się zdarzyć, że ktoś dojdzie do
wniosku, że istotnie popełnił życiową
omylkę. Ale to nie daje chyba pod-
staw, aby sprawę generalizować, by
nie przeciwdziałać corocznej wędrow-
ce setek, może nawet tysięcy studen-
tów w Polsce z wydziału na wydział.
Ten kontrendans kosztuje nas miliony,
a przecież nauczyliśmy się w innych
dziedzinach życia cenić już nie tylko
tysiące, ale i pojedyncze złotówki.

Wysunięte wyżej postulaty są nie-
wątpliwie dyskusyjne. Niewątpliwie
młodzi czytelnicy będą oburzeni. Myślę
jednak, że warto się nad tym zasta-
nowić i podyskutować. Tym razem gra
doprawdy warta świeczki.

Jerzy Dostatni

Druga ojczyzna włączyła Pusto-
wojtównę do ruchu robotniczego.
Z wielkim zapalem czytywała się
w „Manifest komunistyczny”. Patrio-
tym uczestniczki powstania 1863 r.
miał teraz bardziej skrytykowany
cel. Przyszłość Rosji i Polski zależna
była od rewolucji. W latach 70,
kiedy prace Marksa i Engelsa nie
były jeszcze szeroko znane we Fran-
cji, Pustowojtówna wyróżniała się
głębokim rozumieniem marksizmu*.

Na przedmieściu Paryża, Ville-
d'Avray mieszkała i pracowała mi-
strzyni sztucznych kwiatów Anna.
W jej domu spotykali się bracia Dą-
browscy, Walery Wróblewski i poeta
Karol Świdziński. W redakcjach
i klubach odbywały się spotkania
kobiet francuskich, polskich i rosyj-
skich. Z pewnością Anna brała udział
w układaniu artykułów.

Rewolucje 18 marca 1871 r. Pusto-
wojtówna wita z entuzjazmem, broni
Komuny jako żołnierz i sanitariuszka.
Od 17 kwietnia pełni obowiązki adiu-
tanta przy generale Dąbrowskim. Pod-
czas krwawych dni Komuny towarzy-
szy głównodowodzącemu w czasie
inspekcji najbardziej zagrożonych od-
cinków frontu, na Place Blanche wy-
mienia uścisk dłoni z Luizą Michel
i Elżbietą Dmitrijewą, jest świadkiem
zranienia Dąbrowskiego, odprowadza

go do szpitala, a później w ostatnią
drogę na cmentarz Père-Lachaise.

Zamilkły dźwięki marsza pogrzebo-
wego nad grobem sławnego demokra-
ty, a na placu Joanny d'Arc walka
przybierała na sile. Na nasybie bary-
kady Anna Pustowojtówna zatyka
czerwony sztandar. 26 maja do bary-
kady zbliżyli się wersalczy. Obrońcy
nie poddają się. Skierowano na nich
morderczy ogień. Ranna bohaterkę
wyniesiono z placu walki na tyły.
Ukryto ją i wyleczono. Gazety zaś
francuskie doniosły o jej śmierci.

Jeszcze dziesięć lat przeżyła na nie-
zwykła kobieta. Zegnała komunar-
dów, których wywożono do Nowej
Kaledonii, cieszyła się ze wzrostu ru-
chu robotniczego we Francji, gdzie
założyła swoją rodzinę**.

Wydarzenia 1 marca 1881 r. — tra-
gedia Andrzeja Żelabowa, Zofii Pe-
rowskiej — wywarły na Pustowojtów-
nie wstrząsające wrażenie. W końcu
kwietnia, o zmierzchu, Anna zmarła
na zawał serca.

W zacisznej alejce paryskiego cmen-
tarza wznosi się nagrobek z napisem
poświęconym Henryce Lewenhard,
z domu Pustowojtównie, która w kra-
ju, na wygnaniu, w domu i na polu
walki była pełną odwagi, energii
i oddania służącej sprawie.

M. Palkin

* Korespondencja Pustowojtówny z Mar-
ksem i Engelsem niestety się nie zachowała.** Mężem jej był dr Lewenhard, uczest-
nik powstania 1863 r.

W sprawie „Fraszek“ Józefa Czechowicza FELIKS ARASZKIEWICZ

Wydawnictwo Lubelskie wydało pod redakcją Romana Rosiaka piękny miniaturowy tomik „Fraszki“ Józefa Czechowicza. Rzecz zrobiona z bibliofilskim smakiem i z pietysmem dla puścić jednego z najwybitniejszych poetów okresu międzywojennego. Słowo wstępne napisał Julian Krzyżanowski.

Ponieważ należałem przed laty do grona bibliofilskiego w Lublinie w „Świeckiej parafii“ ks. Ludwika Zalewskiego i byłem obecny na sympozjonach, podczas których Czechowicz odczytywał swoje fraszki, pragnę dodać kilka uzupełnień do tekstu Krzyżanowskiego.

1. Fraszka „Do jubilata“ (s. 29) dotyczy Franciszka Raczkowskiego, wybitnego księgarza lubelskiego i bibliofila, który swoim sumptem wydał dwa druki bibliofilskie: ks. Zalewskiego „Genethliacon“ i Araszkiewicza „Hieronim Łopaciński“. Właśnie w owym czasie, około r. 1933, Franciszek Raczkowski obchodził złote gody swego zawodu księgarskiego. Ks. Zalewski podejmował jubilata lampką wina w gronie bibliofilskim.

2. Fraszka „Na Zygmunta Starego“ (s. 17) mylnie została skomentowana przypuszczalnie jej zwiazkiem z osobą Zygmunta Klukowskiego ze Szczecbrzeszyna, dotyczy ona Zygmunta Tolwińskiego, bibliofila, profesora-pedagoga szkół średnich w Lublinie; aluzyjny dowcip zawarty w tej fraszce był przedmiotem żartów towarzyszy bibliofilskich pod adresem flegmatycznego Tolwińskiego.

3. Fraszka „Do jednej Panie“ (s. 26) nie ma przydziału u Krzyżanowskiego.

ja również, niestety, nie mogę sobie przypomnieć o kogo tu chodzi.

4. Fraszka „O doktorze Feliksie“ (s. 27) była istotnie o mnie napisana, odczytano ją na jednym z sympozjonów ks. Zalewskiego. Komentarz Krzyżanowski blednie interpretuje treść tej fraszki. Możliwe, że wizytator Araszkiewicz nie podobał się niektórym nauczycielom tych czasów, ale we fraszce Czechowicz nie o tym mowa. Czechowicz pisze: „Nie mogli mu przebaczyć jednak ludzie źli tej rzeczy, iż do naprawy wziął się Rzeczypospolitej...“ naprawiasz rząd? Komentator zapomniał (a może w ogóle nie wiedział?), że działała w owym czasie grupa polityczna pod nazwą Związek Naprawy Rzeczypospolitej, reprezentująca w akcji politycznej i w organie pt. „Przełom“ stanowisko syndykalistyczne w stylu ówczesnego syndykalizmu francuskiego (lewicowego), pod redakcją Jerzego Szuriga w Warszawie. Otóż dr Feliks należał w tym czasie do owej grupy, którą potocznie nazywano „naprawiaczami“. Właśnie dążyli oni do „naprawiania rządu“ w kierunku gospodarki planowej, upaństwowienia przemysłu i środków produkcji. Za takie stanowisko dr Feliks wkrótce poniósł konsekwencje służbowe. Czechowicz o tym wiedział i dlatego ironizuje we fraszce pod adresem „ludzi złych“, a do doktora Feliksa woła: „Ipsium te, cura, medic...“ „wtedy nie będziesz szczęsnego imienia wywracl na nice“. Tak zrozumiano i przyjęto tę fraszkę na spotkaniu u „proboszcza bibliofilów“ ks. Zalewskiego, a Czechowicz wszystkie swoje kolejne tomiki poetyckie przy-

noał osobiście doktorowi Feliksowi, z dedykacją, miłym uśmiechem i uściskiem dłoni, skąd zaś wzięła się asocjacja autora wstępu, wiążąca tę fraszkę z powieścią-pamfletem Łukasiewicza na szkolnictwo lubelskie tych lat, doprawdy trudno powiedzieć, bo w powieści mowa przede wszystkim o nauczycielach pewnej szkoły handlowej.

5. Pojmuję skróty informacyjne Krzyżanowskiego na s. 6 wstępu o życiu kulturalno-naukowo-literackim Lublina w tych latach, gdy chodzi o hierarchizację instytucji i ich działalność, nie wadziliby jednak podać, choćby w nawiasie, nazwiska Henryka Gartnera przy Towarzystwie Miłośników Języka Polskiego, Wiktora Hahna, przy Towarzystwie Literackim im. Mickiewicza, a także nazwiska niżej podpisanego przy Lubelskim Związku Pracy Kulturalnej, który jednoczył 22 instytucje kulturalno-społeczne Lubelszczyzny i doprowadził do budowy nowoczesnego gmachu dla biblioteki im. Łopacińskiego, salonu stałych wystaw itd., a statutowo realizował planową politykę kulturalno-społeczną na terenie województwa aż do roku 1939. Nie zajęłoby wiele miejsca, gdyby autor wstępu wymienił w nawiasie nazwiska redaktorów dodatków niedzielnych „Ziemi Lubelskiej“: Franciszki Arsztajnowej, Antoniego Madeja i znów (coż poradzić?) moje; w dodatkach tych Czechowicz publikował swoje wiersze.

Mam nadzieję, że Wydawnictwo Lubelskie weźmie pod uwagę niniejsze uzupełnienie w przyszłym zbiorowym wydaniu dzieł Czechowicza.

PRZEGLĄD LITERACKI

TEMAT POLSKI ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

LITANIA tematów, jakie krytycy zadają naszej prozie, powiększa się wciąż o nowe wezwania: temat współczesny, temat wiejski, temat młodzieżowy... Osobiście najchętniej sprawdziłbym te wszystkie tematy do tematu polskiego, rzetelnie kondensującego w sobie obraz naszej współczesności, umieszczonej w historycznej perspektywie, w społecznym kontekście, nie pozbawionej psychologicznej głębi i moralnego wydźwięku. Są to ogólniki, wyświechtane wprawdzie od publicznego nadużycia, ale wyjątkowo świeże w tęsknocie tzw. szarego czytelnika, w pragnieniach księgarzy i bibliotekarzy i — o czym szczególnie chętnie zapominają krytycy — w intencjach i poszukiwaniach pisarzy. To nie frazes: o tym, że temat polski nie daje spokoju powieściopisarzom z różnych literackich pokoleń, przekonali mnie tak z pozoru niepodobne do siebie książki, jak „Sława i chwala“ Iwaszkiewicza, „Wyspiarze“ Proroka, „Syn pułkownika“ Koguta, „Ziemi przypisany“ Kawalca i „Dzień oszusta“ Iredyńskiego.

W „Sławy i chwale“, której trzeci i ostatni tom właśnie się ukazał, temat polski znajduje bezspornie najpełniejszą (spośród owych pięciu powieści) faktograficzną i artystyczną realizację. Chyba właśnie tylko Jarosława Iwaszkiewicza stać na tak osobiste (nie darmo recenzenci poprzednich tomów „Sławy i chwale“ nazwali ją powieścią o Iwaszkiewiczu), bezpośrednie obmacywanie korzeni naszej współczesności, rysowanie jej międzywojennej prehistorii i okupacyjnego preludium — bez zbytejnej pretensji do epickiej pełni i obiektywizmu, z łacie liryczną za to pasją, zaangażowaniem, autentyzmem. Tematu polskiego nie da się wyobrazić bez „losu człowieka“, konkretniej: losu Polaka, kształtowanego burzliwymi fluktami historii, przemian społecznych prądów kulturalnych, które drażnią i drażą naszą biografie niejako podskórnie, nie docierając niekiedy do świadomości mieszkańców kraju nad Wisłą. Takimi właśnie są bohaterowie „Sławy i chwale“, ich polska dola wydaje się nie tyle typowa, ile — symptomatyczna, a w reestracji owych symptomów Iwaszkiewicz okazał się mistrzem już pisząc „Pasje błędnierskie“. Być może powstanie kiedyś epos na temat polski, na pewno „Sława i chwala“ gromadzi materiał do takiego eposu, jest pisarskim zwiadem problemów wątków i ludzkich sytuacji, zwiadem tym cenniejszym, że —

w wielu wypadkach — pierwszym prekursorem, daj Boże — nie ostatnim. Od innej strony dokonują takiego zwiadu „Wyspiarze“ Leszka Proroka. Jest to przekorne — momentami do przesady — odczytanie tematu polskiego w losach i ludziach Ziemi Zachodniej, konkretnie — Ziemi Złotowskiej. Prorok z premedytacją zastosował wszystkie najnowocześniejsze i najmodniejsze środki konstrukcji powieściowej czy antypowieściowej, dla pokazania trudnego (tak w społecznym zamyśle, jak w indywidualnej, prywatnej realizacji) wrastania i odrastania Polski na ziemiach odzyskanych. Obierając za bohatera skrzyżzonego autochtona — pisarz nie cofnął się przed przypomnieniem i nazwaniem po imieniu spraw trudnych, gorzkich i wstydlwych, pokazał odlicie ważkich społecznych procesów w świadomości ludzi, którzy już nie chcą i nie mogą być biernym, bezwalnym przedmiotem historii. Temat polski nie potrafi obyć się bez konwencjonalnego na pozór współczynnika patriotyzmu; Prorok oczyścił ów współczynnik z ekliwicznych naleciałości, nadał mu głęboki, moralny rezonans, uczynił zeń pełnoprawny element, zwornik konstrukcji literackiej.

Swoistą analizę, demaskację patriotyzmu przedstawia również „Syn pułkownika“ Bogusława Koguta. Zawarty w tej zwizłej powieści — obraz polskich „czasów pogardy“ różni się znacznie od wizji kształtowanej przez innych prozaików z Tadeuszem Hołujem i Adolfem Rudnickim na czele. Bohater powieści Koguta, Polak o charakterze i biografii nader przeciętnej, gubi się w splecie wątków ideowych, społecznych, moralnych, wniesionych do jego życia przez drugą wojnę światową, wybocowuje się ze środowisk i postaw, do których dotąd ciężył niejako niezawinioną inercją, nie potrafi się zdobyć na bodaj nieśmiałą próbę adaptacji do nowych warunków. Pełnokrwisty temat polski nie może obyć się bez takiego, nie zawsze zresztą skazanego na tragiczność, bohatera — zasługą Koguta jest utworzenie dlań ścieżki w polskiej powieści, ścieżki w „Synu pułkownika“ momentami nie dość jeszcze pewnie zaznaczonej artystycznie, niemniej trafnej i ważnej.

Losy „Syna pułkownika“ ulokował autor na wsi, podobnie uczynił z „Ziemi przypisanym“ Julian Kawalec; ta ostatnia powieść (wyróżniona najwyższą z przyznanych nagród na międzywydawniczym konkursie literackim) zrywa jednak ostentacyjnie związki z tradycyjnie, opływawco formułowanym

„tematem wiejskim“. Podkreślam słowa: tradycyjnie formułowanym — ponieważ rzetelnie pojęty i realizowany temat polski nie może się obyć bez artystycznego obrazu chłopskiego życia, zbyt wielu Polaków przecież jest i będzie ów obraz serdecznie, dramatycznie bliski. Kawalec w swojej debiutanckiej powieści podjął się ukuć formułę artystyczną dla społecznych determinantów chłopskiego losu, ukazać ich moralny, tragiczny kształt, przetłumaczyć ogólne, socjologiczne kategorie na indywidualne, ludzkie sytuacje i przeżycia. Przywiązanie do ziemi może chłopca popchnąć do zbrodni — oto truizm, z którym osiuchaliśmy się do znudzenia; Kawalec wydobywa z owego truizmu rdzeń arcyłudzkiego moralitetu, osnuwa na nim życie swoich bohaterów, może trochę przyplaszczony ciężarem społecznych determinantów, niemniej w jakimś wyjątkowo cennym skrócie okazujące konflikt „starego“ z „nowym“ w losie Polaków ostatniego ćwierćwiecza. I chyba dlatego realia i problem „Ziemi przypisanego“ są autentyczne, czyli — prawdziwe.

Jeszcze jedna konkretyzacja tematu polskiego: „Dzień oszusta“ Iredyńskiego, czyli „temat młodzieżowy“. Inaczej: obraz życia tej młodzieży, której egzystencję przygotowały i określiły w jakiś sposób wątki problemowe, wyeksponowane w poprzednio omówionych powieściach. Ale ani ludzie, ani świat, utrwalony w debiutanckiej powieści Iredyńskiego, nie ma wiele wspólnego ze spokojem (nie naruszonym przez dramatyczność akcji) relacji książek Iwaszkiewicza, Proroka, Koguta i Kawalca: młody poeta odważył się na napisanie pamfletu na swoich rówieśników, na postawienie w stan oskarżenia tej ich postawy, którą już kilka lat temu nazwano „polskim egzystencjalizmem“. Iredyński nie potrafił się zgodzić z nudą, histerią i inercją pewnej grupy polskiej młodzieży, której kompleksy i konflikty koncentrują na sobie uwagę prasowych, publicystycznych moralistów ostatnich lat, obnaża z ironią wewnętrzną i zewnętrzną pustkę — żeby użyć wyrażenia Jana Kotta — „Hamletów po XX Zjeździe“. I mimo satyrycznych przejaśkrawień, niesprawiedliwości — dobrze uzupełniona, ublastyczniana temat polski, który nota bene nie może i nie powinien skończyć się na omówionych pięciu powieściach. Może i powinien od nich dopiero się zacząć.

Jarosław Iwaszkiewicz: Sława i chwala. T. III. Warszawa 1962. PIW.
Leszek Prorok: Wyspiarze. Wrocław 1962. Ossolineum.
Bogusław Kogut: Syn pułkownika. Poznań 1962. Wyd. Pomorskie.
Julian Kawalec: Ziemi przypisany. Warszawa 1962. PIW.
Ireneusz Iredyński: Dzień oszusta. Kraków 1962. Wyd. Literackie.

SA książki szychujac na wyznacznym wyrażeniu nowe szezki, stawiajac problemy, szukajace i zmuszajace do szukania i sa książki „do czytania“, ten takie, przy których czytelnik uczestniczy w losach bohaterów, poddaje się fabule i wzruszeniom. Fabula taka jest swyżna albo „odwroconiem“, barwną ilustracją znanych epizodów historii, jak u Krzeszowskiego, Sienkiewicza czy Hunscha, albo obraca się w kręgu zwykłych spraw czy przeżyć, dostępnych i bliskich przeciętnemu czytelnikowi, sprawdzającym niejako na co dzień.

Do tych ostatnich należy zbiór krótkich opowiadań, z których część znana już pod tytułem „Kameny“, Jana Koprowskiego pt. „Było to w marcu“. Jest to tomik obrazków o zwykłych sprawach zwik-

Ciepło życia

ZDZISŁAW JASTRZĘBSKI

tych ludzi, mówiac najogólniej. Temat taki pozornie nieefektywny, niewdzięczny, a patrząc z punktu widzenia warsztatu pisarskiego — także niebezpieczny, bo grozący banałem a równocześnie pretensjonalnością, jeśli ulegnie się pokusie stworzenia obrazu efektownego, uniezwykłego w jakiś sposób szarość zwyczajności. Koprowski na ogół ustrzega się i banału, i pretensjonalności. Czasem tylko, zwiaczca w opowiadaniach wczesniejszych, trafiamy na zgrzyty. Np. „Odwiedźny“, to taki zdarzający się, banalny lecz wstrząsający, prawdopodobny obrazek, jednak artystycznie potrącający o pretensjonalność. W czym tkwi przyczyna tego? Chyba w zmierzaniu do zbudowania efektu przez zaskoczenie czytelnika i to jakos poza całą fabulą. Odwrotnie — tu opowiedziany spokojnie; wstrząsa, wstrząsa tragizm całej sytuacji, a zarazem głębokie zrozumienie, przemawia wymowa faktów, a nie narzucony komentarz.

Otóż cechą opowiadań Koprowskiego jest analiza, ukazanie in statu nascendi jakichś ludzkich spraw; przywiązania do pracy („Listonosz“), do rodzinnego miejsca („Wronki“), „Nowakowa“, brak wzajemnego zrozumienia („Antoni“), ciężki los („Szczegielniakowa“) i zwykłe kłopoty („Było to w marcu“), „Kryżacy“...) itd. Tymczasem autor niekiedy jakby nie ufał samej wymowie faktów i doczepia pointe, która raczej psuje całość. Kiedy np. czytalem opowiadanie „Człowiek zaczyna chorować“ bałem się już na spród, czy czasem ta analiza choroby nie zostanie zamknięta jako zagmatwana śmiercią lub co gorza nagłym zwrotem, odwracającym cały obrazek. W tego typu opowiadaniach, w tym stylu nie są potrzebne zakończenia, doprowadzenia do zbliżonej do rozwiązania. Również pułki artystyczna jednolitość wszelkie też, aproryzmy dydaktyczne, np. w „Powrocie“.

Obrazki Koprowskiego są z tradycji przywzyciwej prozy, pokrewne obrazkom tzw. tendencyjnego, wczesnego okresu twórczości Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej... równocześnie jednak posiadają swą różnicą, natomiast specyficznie. Tam narracja ukazywał pewien świat, ukazywał go z pełną sympatią i zaangażowaniem, choć wstrząsły czytelnika i wzruszenie wywarstało dla celów dydaktycznych, społecznych. U Koprowskiego narrator uczestniczy w tym świecie, wywodzi się z niego i dzięki temu oraz dzięki ukształtowaniu toku narracyjnego w pierwszej osobie, siebie, nawiązuje intymny kontakt z czytelnikiem, zaprasza go do owego ciepła życia. Jakże to opowiadań emanuje. Autot ciele odchodzi, rozwija dawna forma; w ostatnich np. obrazkach coraz bardziej widoczne jest redukowanie „fabuły“, korzystanie z doświadczeń ujęć irracjonalistycznego stylu, antypowieści — i to nie w sposób mechaniczny. To prządaje cę pogłębia tragizm dochodzący coraz silniej do głosu. (Być może dla zneutralizowania go autor dał na koniec tomiku opowiadania bardziej żartobliwe, jak „Besarabcyki“, „Jak wielkie jest morze“, „Podróż do Moskwy“).

Tragizm u Koprowskiego nie wypływa z jakichś metafizycznych źródeł, jak np. u Conrada, lecz z moralnych, jest wynikiem braku zrozumienia wzajemnego, postępowości, egoizmu niektórych postaci, wynikiem braku ciepła życia, przywiązania do życia, do swoich rodzinnych stron, do życia. To są negatywy świata Koprowskiego. A pozytyw? Stary Listonosz wzrasza się swemu młodemu następcy: „...kiedy list jest ciepły od tego życia, co się w nim kryje“ i nie chce się z swoją pracą rozstać. Żołnierz zbliżając się do dajacy domu, wzrusza się; „owaj go nie dajęcie się nzwzać ani określić zapach czegoś bliskiego“. To jest atmosfera, która sugeruje nam ten zbiorek. Zbiorek, inspirowany postawą altruistyczną (nie chodzi tu o charakter autora, którego nie znam, lecz o kierunek artystycznego widzenia świata) przede wszystkim drugiego człowieka.

W „Monologu“, który jest w pewnym sensie opowiadaniem programowym, bo w sposób bezpośredni narrator formuluje mu główne idee przewijające się przez tomik, czytamy m. in.: „Cudza książka, w że się zajmowa cudzymi sprawami, i w wtedy odpoczywam od własnych myśli, od siebie samego. Bo nie ma gorszej rzeczy niż ciągle zajmowanie się sobą. Ja nie przed tym bronie, i może dlatego żyję tak długo. A życie jest piękne, proszę pana“.

Dlatego czytając tę książkę, oddychać się ulga po przelatekuzlowanych irracjonalizmach (dziwny bykotalak), po artystycznych, świętych formach, stylizacjach, po książkach, które przybierają tylko maskę wrażliwości i zainteresowania ludzimi światem, a w gruncie rzeczy są książkami powieściami egocentrycznego aktorstwa. Takie książki są zresztą dziś główną na dziedzi literackiej uważane za najgorsze.

ADA KOPCINSKA

Po śladach

Cienie swych ulic jeszcze
nie zmieniły
jeszcze na rynku milczą
kamienie
i milczą płyty bez żadnej muzyki
w kamieniu nie ma wcale
wielkiej ciszy.

On formowany wciąż stopą
idących
kołem dorożki co rzadko
tu jeździ
rozmawia z drzewem samotnym
na rogu
o wszystkich świętąch
i o wielkich chwilach.

Może jest pełen [drobniutek żyłek
co go laskoczą
i drażnią bez końca
a może dusza jego
może rdzeń już gnije
więcej teraz głośno broniąc się
[przed gniciem
pyta to drzewo
o liście gdy spadną
— co z nimi dalej?

Może chce toczyć się po śladach [które
pozostawili jego potomkowie
czyżby chciał dotrzeć
[gdzie koniec kamienia — —

Rozkład kamienia...
To rzeźby nie będzie
nie będzie nawet schodów
ni filarów?

I coż poświadczy że on był
istniał?

— Pomyślał:
pewnie przemienił się szybko
może w mężczyznę co idzie ulicą.

— To była jego obrona przed końcem
Tylko że wybór [niezbyt będzie trafny
jeśli w człowieka
— Zamknij na moment
i wyjrzyj z wnętrza.

STANISŁAW GLEŃ

Miasteczko (V)

Szedł wprost
i wybuchł skandal
ulice zatrząsnęły się
jak śmiał
dzisiaj już tędy nie przechodzi
musiał odejść
a przecież zawadził tylko
o mętne lustro ulicznej latarni.

MARIAN BARAN

Samotność

W swojej powłoce zamknięty
opędzam się przed cieniem
co móg mi wysysa
i błędę po uśmiechu,
jakbym ścieżkę chciał znaleźć
wśród gąszcza widziadeł.
Czasem zdzieram kotarę
z zasłoniętych okien,
aby uchwycić promień
i rozpalić wnętrze.
Wtedy truchciłem dziecka
— rozjaśniona ścieżką
biegnę aż do zakrętu,
tam gdzie semafor
zamykają mi drogę.
Tak miła dzień
i osób tysiące
a ja wciąż siedzę
ze spuszczoną głową
jakbym się wstydzil
zastygły w pokorze,
albo też dźwigam
rozproszone myśli
aby uciekać —
do widziadeł w murze.
Wówczas znowu zasuwam
kotarę na okno.

HENRYK JACHIMOWSKI

mieszkanie

robotnicy w szarych kombinazonach
budują mieszkanie
z gładkich sosnowych desek
na sosnowych filarkach
soszowe mieszkanie
w formie wielościanu
szerebnie
żeby nie wszedł żaden robak
do tego mieszkania
wprowadził się człowiek
to będzie jego ostatnie mieszkanie

BEATA BATUK

Nad jeziorem

Wodę pokrajać wioślami
na zsiadłe mleko
i zapatrzyć się bez końca
na mewy kłękające na fali
utopić się ze trzy razy
po czy
zapomnieć w tym wszystkim
o sobie
a potem iść udawać rybaka
z błękitu wylowić spokój.

Zmierzech się wyperfumował
romantycznie maciejką
i można by się całować
pod jesionem
ale woda jest sina
od twarzy topielców
i plegowata od żab.

KONSTANTY TARNOWSKI

Sklepy

Tu płatnina gestów
i kadzidlane dymy
uderzają do głowy
Cnoty mizdrzą się natrętnie
w uszach słogany świdrują
a idee wabią kolorami
kupić nie kupię
połargować można
pobrzęknąć zdewaulowanym groszem
rozstanie z piątą skórą
odkładał na potem
jako że ich tylko siedem posiadam
a przyparty do muru ciasnej ulicy
z desperacką odwagą pokrzykuje
mam syna
jutro kupi
będzie bardzo dobrze płacił

RYSZARD PODLEWSKI

Myśli

Jego zmierzwiłone włosy
są mu nawozem dla umysłu.
*
„Wolność to uświadomiona
konieczność” —
trzeba to sobie
koniecznie uświadomić!
*
Wiele rzeczy nam w życiu ucieka —
zwłaszcza niejeden
„zbieg okoliczności”.
*
W mroku ciemnoty niektórzy święcą
— oczami.
*
Wieniec laurowy też może być czasem
— kołem ratunkowym.
*
Czasem rumieniec życia jest —
rumieńcem wstydu!
*
On, nawet „bijąc się z myślami” —
bije poniżej pasa!
*
Wyrobiło się nowe pojęcie
w stosunkach mężczyzn do kobiet:
gentle — ch a m.
*
Nie stara się prześcignąć własnych
„listów gończych”!
*
Każdy nekrolog głosi tylko
byłe prawdy.

IZABELLA PAJDAR

NIEWIELE jest w Polsce tak pięk-
nych zakątków jak pałac w Łań-
cucie. Ta dawna siedziba Poto-
ckich, mimo że zuboższa podczas
drugiej wojny światowej, w dalszym cią-
gu zachwyca turystów polskich i zagra-
nicznych. Rozległy park otacza budo-
wianą, która swoim wyglądem zewnętrznym nie
zapowiada późniejszych bogactwem i pię-
knem. Wspaniałe oblicze, sprząty, rzeźby
zyrandole, wreszcie posiadki (tutejsi kol-
buszowscy rzemieślnicy) — wszystko
to działa na wyobraźnię.

W takim właśnie otoczeniu, w sprzyja-
jących warunkach, powstała w XVII wie-
ku muzyka komnatowa, kameralna, ga-
tunek trudny, ekskluzywny, a przy tym
dający wiele głębokich wzruszeń estetycz-
nych. Tworząc muzykę wyrastała wów-
czas z praktyki, kompozytor był z regu-
ły wykonawcą, względnie współwykonaw-
cą swoich dzieł, co z kolei gwarantowało
właściwą interpretację. Muzycy konten-
trując swą uwagę na możliwościach tech-
nicznych kilku wybranych instrumentów,
wydobywali z nich maksimum walorów;
kunsztowne frazy melodii do dziś zachwy-
cają znawców, mimo duzego postępu tech-
niki instrumentalnej. Muzyka ta zachow-
wała swój wdzięk i zdolność wzruszania.

Formy, jakie wówczas powstawały, były
aktualne przez XVIII i XIX wiek. Kwarte-
ty smyczkowe, sonaty na skrzypce i
fortepian, tria fortepianowe — ze wymie-
nionych tylko najczęściej występujące — były
głównymi formami wypowiedzi artystycz-
nej. Romantycy pisali je w mniejszych
ilościach, centralnym punktem zaintereso-
wania były wówczas miniatury fortepiano-
we, a później wielkie formy programowe.
Później, kameralistyki, wspaniałym przy-
kładem tych zainteresowań jest kwartet
smyczkowy Debussy'ego czy trio Malaw-
skiego.

Gerze natomiast przedstawia się dziś
odwrotność tego gatunku, a już najtrud-
niejszy jest etap docierania do słuchaczy.
Tutaj jesteśmy świadkami bardzo poważ-
nego kryzysu. Wiele przyczyn składa się
na niepopularności muzyki kameralnej
wśród współczesnych: duża nerwowość,
przyspieszone tempo życia, trudne warun-
ki bytowe nie sprzyjają muzykowaniu,
z drugiej strony słuchacze, nie stykając
się często z tego rodzaju muzyką, nie są
na nią uwarstwieni. Środki mechaniczne
odtworzenia, koncertowe sale — giganty,
wzraskliwość rodzimych pseudojazzowych
zespołów — wszystkie te czynniki składa-
ją się na lansowanie sztuki obliczonej na
efekty masowe.

W tym stanie rzeczy godną jest aplauzu
inicjatywa Dyrekcji Państwowej Orkie-
stry Symfonicznej w Rzeszowie: organi-
zowanie corocznego festiwalu pod nazwą
„Dni Muzyki Kameralnej”. Nie trzeba
chyba podkreślać dużej wartości festiwa-
lu jako formy życia muzycznego, wynika
on z potrzeby uintensywnienia wrażeń
artystycznych. Forma ta jest poza tym
niezwykle atrakcyjna, gdyż wytwarza spe-
cjalną atmosferę sprzyjającą łatwiej-
szemu przyswajaniu, większej koncentra-
cji uwagi. Za granicę festiwalu mają swo-
je bogate tradycje, świetnie zorganizowa-
na turystyka festiwalowa, dobra reklama
i sprawozdawczość.

Te wszystkie walory dobrej organizacji,
których już dopracowała się np. „War-

szawska Jesień”, są niesłychanie ważne
dla takiej imprezy jeszcze niedoścignione. Jednym
z powodów jest niedoścignione „Dni Mu-
zyki Kameralnej” przez centralne czynni-
ki. Być może, że w przyszłości i ta stro-
na zagadnienia zostanie odpowiednio opraco-
wana.

Kapitałnym pomysłem było zorganizo-
wanie koncertów festiwalowych właśnie
w łańcuckim zamku. Muzyka kameralna
wymaga konkretnych warunków akus-
tycznych i odpowiedniej oprawy, jest
pod tym względem synkretyczna, tzn. tak
przylegająca do architektury pałacowej,
że wykonanie w odpowiednich warunkach
nadaje jej doskonały artystyczny kształt.
Ten walor podkreślali zresztą wszyscy
słuchacze koncertów festiwalowych.

„Dni Muzyki Kameralnej” odbyły się
już dwukrotnie. Sprawozdawcy festiwa-
li zgodnie podkreślają wyjątkowość tego
zjawiska w polskim życiu muzycznym.
Jest to istotnie jedyna tego rodzaju im-
preza w kraju. Podczas ostatnich „Dni
Muzyki Kameralnej” obok zespołów, któ-
rych udział w festiwalu był nieporozu-
mieniem (np. kwintet fortepianowy Pań-
stwowej Średniej Szkoły Muzycznej w
Katowicach czy Kwartet Poznański, usły-
szeliśmy kilka bardzo dobrych zespołów
i solistów. Wśród nich na najwyższą ocenę
zasłużyły: świetny Kwartet Łódzki w
repertuarze współczesnym (Szymanowski,
Debussy) i bardzo dobre Trio Klawesyno-
we, w którego wykonaniu Sonata B-dur
Haendla była prawdziwą rewelacją. Bar-
dzo interesujący był półrecital Haliny Łu-
komskiej i kończący festiwal koncert
Choru Kameralnego Państwowej Filhar-
monii Krakowskiej pod dyrykcją Józefa
Boka, którego recenzenci „Dni Muzyki
Kameralnej” dali najwyższą ocenę za
interpretację dawnej muzyki polskiej.

Jeszcze ciekawie zapowiadała się „Dni
Muzyki Kameralnej”, które odbędą się
w czerwcu 1963 r. Udział w imprezie za-
deklarowało kilka bardzo dobrych pol-
skich zespołów kameralnych: Bydgoski
Zespół Muzyki Dawnej, Trio fortepiano-
we z Warszawy i Chór Kameralny Pań-
stwowej Filharmonii Krakowskiej. Poza
tym mają w Łańcucie gościć dwa zespoły
zagraniczne: Kwartet Smyczkowy im. Ne-
waka z Czechosłowacji i zespół kameralny
z NRD o nie ustalonym składzie. Władzo-
m natomiast, że niemieccy goście przy-
jadą z repertuarem obejmującym dzieła
Jana Sebastiana Bacha. Dużą atrakcją
festiwalu będzie wystawienie estradowe
dwóch oper: Państwowa Orkiestra Sym-
foniczna w Rzeszowie opracuje „Eneasa
i Dydona” Purcella, a Państwowa Filhar-
monia Warszawska „La serva padrona”
Pergolesiego. Można sobie już dziś wyo-
obrazić nastrój, jaki będzie towarzyszył
wykonaniu oper: miniaturowa sala tea-
tralna łańcuckiego zamku stworzy kapi-
tałną oprawę dla obu dzieł.

Plany są więc bardzo ambitne. Do peł-
nego obrazu brakuje tylko klawesynu,
instrumentu nieodzownego na tego ro-
dzaju imprezach. Powierzenie fortepiano-
wo basso continuo w utworach z okresu
wczesnego baroku jest niestety, zatra-
ca się przy tym zupełnie charakter tej
muzyki. Jest to sprawa dość istotna, aby
udało się ją załatwić pomyślnie. Należy
więc tylko życzyć organizatorom udanej
realizacji łańcuckich „Dni Muzyki Ka-
meralnej”.

DWIE WYSTAWY — DWA OBLICZA

W KILKU ostatnich tygodniach w lubel-
skim środowisku artystycznym można
zaobserwować niejaki ożywienie,
przejawiające się znaczną liczbą wystaw
malarstwa i grafiki.

Po Jesiennej Wystawie Okręgowej w
CBWA określającej całokształt tendencji
lubelskiej plastyki, mamy do odnotowania
dwie ekspozycje indywidualne — Alek-
sandra Wachniewskiego w Dziel-
nicowym Domu Kultury na ŻOR Zachód
i Andrzeja Jedliczki w klubie
Zamek przy Wojewódzkim Domu Kultury.

Malarstwo Aleksandry Wachniewskiej re-
prezentują 21 olejne płótna tematycznie
związane z krajobrazem Roztocza. Już naz-
wa wystawy „Roztocze w pejzażu” waka-
zuje na metodę realizacji artystycznej sto-
sowaną przez malarke. Ogólnie biorąc ma-
larstwo Wachniewskiej mieści się w ra-
mach realizmu, a bieżąca formalna twórczość
są anachroniczne dziś zdobycze postim-
presjonizmu i koloryzmu polskiego („Jesień-
ne drzewa”, „Roztocze”). Tak zdeterni-
wany dorobek artysty wykazuje trzy ten-
dencje, raz zbliżając się do realizmu wery-
fikowanego przez podobieństwo do natu-
ralnego modelu („Jodły z Bukowej Góry”),
w drugim wypadku („Buk z rezerwatu Ka-
mienna Góra”) opiera się na stylizacji ele-
mentów krajobrazu, często niestety prze-
chodząc w manierę. Konsekwencją styliza-
cji wydała się być dekoracyjny charakter
niektórych prac, jak „Pnie drzew w słoń-
cu” i „Jesień”. Ta ostatnia udana kolo-
rystycznie wzbudza ogólne zainteresowanie,
być może uwarunkowane wrażeniem
abstrakcyjności, zresztą pozornej.

Osobną grupę stanowią dwa płótna nieco
odbiłgające od pozostałych: „Droga polna”,
o nasyconych, żywych kolorach i stosun-
kowo dynamicznej kompozycji, oraz „Roz-
tocze”, lekkie kolorystycznie, pełne powie-
trza i radości.

Malarstwo Wachniewskiej, operujące w
zasadzie jednym typem kompozycji — sta-
tycznej, eksponującej centralny motyw
układu, malarstwo to, rozpatrywane pod
kątem realizacji problemów czysto malar-
skich nie jest odkrywcze. Obrazy Wach-
niewskiej potrafią jednak zwrócić na sie-
bie uwagę wierszem oddanemu nastrojowi
Roztocza, jego jesienno-smutku, rozjaś-
nionego słońcem i barwą liści. „Wrzosa”
emanująca fioletowo-szara ciszą, czy opu-
szczone i chłodne „Stawy Echo” tworzą na-
strój tej ziemi, bliski artystce, przeżyty

i uświęcony na trwalszym od pamięci
płótnie.

PRACE malarzkie Andrzeja Jedliczki
eksponowane w klubie Zamek przed-
stawiają się zgoła odmiennie. Jed-
nascie płócien grawituje pomiędzy „In-
formelem” a malarstwem przedstawia-
jącym, reprezentowanym m. in. przez
monochromatyczną i statyczną „Bystrycę
Kłodzką” i bardziej dynamiczną, o skróto-
wej formie „Martwą duszę”.

W ramach malarstwa przedstawiającego
mieści się także „Portret z wachlarzem”,
którego motyw centralny — postać ludzka
stanowi pretekst do ciekawej realizacji ko-
lorystycznej, o przytłumionych, grubo po-
łożonych farbach tworzących szorstką fak-
turę. Płótno należy do najlepszych na wy-
stawie.

We wspomnianej grupie obrazów „infor-
melowych”, do interesujących i udanych
zalicza się „Kompozycja z okna” skonstruo-
wana przy pomocy szeroko rozlanych płam,
o szorstkiej powierzchni i ziemnej kolory-
stycie. „Kompozycja...” wydaje się mieścić
w kręgu rozwiązań zapoczątkowanych kilka
lat temu przez awangardę hiszpańską, nie
rezygnując zarazem z innowacji tasyzmu.
Ze względu na pewne dalekie skojarzenia
przedmiotów, obok tej grupy umieszc-
można „Pejzaż przed burzą”, dynamiczną
plaszczynę rozegraną w płamach nasyco-
nej zieleni, czerni i niebieskiego o dużej
ekspresji.

Pozostałe kompozycje nie dorównują wy-
mienionym realizacjom: „Zima” z prostoką-
tem wielokrotnie przedziurawionego płótna
jest ciekawa w pomysłach, lecz słabsza w
wykonaniu, a „Manekin” razi zdawkowo-
ścią.

Sześć niewielkich kompozycji pejzażowych
zrealizowanych na papierze, przedstawia
podobne do siebie formy w różnorodnych
układach i wykazuje umiędzynięcie autora w
operowaniu syntetyczną formą.

Malarstwo Jedliczki rozwijając się dwu-
torowo i bazując na rozwiązaniach formal-
nych wcześniej odkrytych, nie rezygnuje
jednak z własnego, indywidualnego oblicza.
Artysta „czuje” kolor i zresztą wykorzy-
stuje efekty fakturalne, stwarzając obrazy
pełne ekspresji (jak wymienione już „Pej-
zaż przed burzą” i „Portret z wachla-
rzem”), żyjące autonomizmem, malarstwem
bytem.

Ireneusz Kamiński

O „zaangażowaniu”, Smożewskim, „trzydziestolatkach” i lubelskich teatrzykach studenckich

Fragmety rozmowy o teatrzykach studenckich, która odbyła się 1 lutego 1963 roku w Redakcji „Kamenu”. Wzięli w niej udział przedstawiciele lubelskiego środowiska młodzieżowego: Krzysztof Głogowski — student polonistyki, Jerzy Księski — literat, pracownik Lubelskiej Rozgłośni Polskiego Radia, współtwórca lubelskiego „Stuchowizjonu”, Jerzy Kurczab — lekarz, kier. literacki teatrzyku studenckiego „Dren 59”, Andrzej Rozhin — student polonistyki, kierownik i reżyser teatrzyku studenckiego „Gong 7.30”, Zbigniew Stepek — kierownik Redakcji Literackiej Lubelskiej Rozgłośni Polskiego Radia, Jerzy Suświłło — student, słuchacz Studium Kultury Teatralnej przy LDK, Mieczysław Trochimiuk — pracownik działu zespołów artystycznych LDK. Z ramienia „Kamenu” rozmawiał i notował Mirosław Derecki.

DERECKI: Dużym wydarzeniem kulturalnym ostatnich dni były w Lublinie występy kieleckiego teatrzyku dziennikarzy i aktorów, tzw. „teatrzyku Smożewskiego”, z programem: „Romeo i Julia za czwartym falochronem”, — opracowanym na podstawie listów czytelników „Dookoła Świata”. Podczas dyskusji, która odbyła się po lubelskiej premierze tego przedstawienia, ktoś zauważył: — „Ależ wy jesteście teatrzykiem studenckim!” (Oczywiście w jak najbardziej dodatnim tego słowa znaczeniu. I miał słuszną rację w jakimś sensie. Teatrzyk kielecki ma bardzo specyficzny charakter, odbiega — pomimo że jego twórcy są zawodowcami — od teatru zawodowego, a jego poszukiwania są zbliżone z poszukiwaniami teatrów studenckich. Jak większość obecnie działających teatrzyków studenckich, tematy do swoich przedstawień czerpie z życia...)

KSIEŃSKI: Właśnie dlatego zostałam u nas przyjęty entuzjastycznie. Ta scena jest szalenie „zaangażowana”, a zaangażowania w lubelskich teatrzykach było zawsze brak, a i obecnie, jeżeli jest, to jest go bardzo mało. Jesteśmy po prostu spragnieni takiego teatru... Bo popatrzymy, jakie były w lubelskim środowisku studenckim teatrzyki, na przestrzeni ostatnich lat. Liczył się kiedyś taki Zespół Dramatyczny UMCS, który bawił się w teatr. Wystawiali „Niemeńców” Kruczkowskiego, „Grzech” Żeromskiego itd. Potem „Sex 1” i „Sex 2” i... długo, długo nie. Wreszcie powstał teatrzyk „Dren 59” przy Akademii Medycznej, no i ostatnio — bardzo interesujący, moim zdaniem, zespół — „Gong 7.30”. Inna sprawa, że w okresie, w którym studiowałem, mniej były modne teatrzyki, a bardziej „Blyskawice” i „Gazetki ścienne”. Ci, którzy je pisali, „pokolenie trzydziestolatków”, skończyło studia, usadowiło się na posadach... — zresztą było już o tym tyle dyskusji w „Polityce” i w innych pismach, że nie warto tego wałkować. Wiadomo, że to pokolenie jest raczej bezideowe, chwytliwe itd. Natomiast ci młodzi są bardziej ruchliwi, zaczynają mieć coś do powiedzenia, nie chcą zgadzać się bezkrytycznie na wszystko, nie „przeznaczają się”, ale chcą mieć jakiś własny stosunek do życia, do świata, do środowiska, w którym ży-

ją. Dopiero dzięki nim mogły narodzić się teatrzyki — jak je nazywamy dzisiaj — zaangażowane. GŁOGOWSKI: Co to znaczy „zaangażowanie”? KSIEŃSKI: To znaczy, że trzeba mieć jakiś swój stosunek do tego wszystkiego, co się wokół nas dzieje. Nie tylko sztychcie do spraw ludzkich. Na przykład u Smożewskiego: — listy i odpowiedzi. Przecież można było w tym przedstawieniu wyszydzić ludzi, którzy te listy pisali, ośmieszyć, skopać... „Naród” miałby zabawę. A tymczasem teatrzyk kielecki nie robi tragedii, nie mówi: „patrzcie — jacy jesteście śmieszni, mali, podli”, tylko... — „również jesteście ludźmi!”... W każdym razie chodzi mi o to, że Smożewski nie uciekł przed analizą problemów, które pokazał. Przecież to były małe studia psychologiczne, oczywiście dzięki odpowiedniemu montażowi listów, odpowiedzi i tych wstawek, które twórcy przedstawienia dopisali już sami. DERECKI: Ale i u nas, w Lublinie, można też znaleźć zaangażowane teatrzyki i przedstawienia. Oczywiście może na inną skalę, mniej dojrzałe, czy trochę w innym rodzaju... KSIEŃSKI: Trudno całkowicie zaprzeczyć. Na pewno zaangażowany jest

TROCHIMIUK: To już było udostępnione. Każdy kto czytał „Listy Teresy” w „Dookoła Świata”...

KSIEŃSKI: Nie, nie! Chodzi o to, że wpadli na pomysł użytkowania.

GŁOGOWSKI: Właśnie. Poza tym niektóre listy były tak drastyczne, że na pewno nie mogły ukazać się w prasie. Tutaj znowu zarzut pod adresem Smożewskiego: W pierwszej części przedstawienia pokazywano wiele tekstów tylko na zasadzie: „słuchajcie, to jest bardzo śmieszne, więc się śmieście”. To bardzo rażąco.

TROCHIMIUK: Chcę wrócić jeszcze do sprawy „zaangażowania” i „trzydziestolatków”. Nie zgadzam się całkowicie z Księskim. Tak zwany „ruch studencki” zaczęli właśnie ci dzisiejsi trzydziestolatkowie. Ich poczynania były co prawda reakcją nie tyle ideologiczną, ile typu czysto formalnego — jeśli chodzi o teatr — ale jednak też byli jakoś zaangażowani. Powstało wtedy mnóstwo teatrzyków studenckich, które walczyły z weryzmem w teatrze. To był okres eksperymentowania, jeśli chodzi o środki wyrazu. „Teatr 38” w Krakowie stworzył nawet własną teorię „teatru klimatu”. To był eksperyment czysto formalny,

Redakcja „Kamenu” zaplanowała na rok 63 szereg dyskusji poświęconych aktualnym sprawom kulturalno-społecznym. W spotkaniach naszych będą uczestniczyli przedstawiciele różnych „roczników” środowisk: białoostockich, kieleckich, lubelskich i rzeszowskich — największy jednak nacisk kładziemy na udział młodej inteligencji. Chodzi nam o stworzenie przy naszym piśmie ośrodka dyskusyjnego, w którym młodzi mogliby dzielić się poglądami na nurtujące ich zagadnienia dzisiejszej rzeczywistości. Prezentujemy tutaj skrótoną relację pierwszej rozmowy tego typu. — Redakcja.

„Dren 59”, zaangażowany jest „Gong 7.30”...

DERECKI: No właśnie. Może trochę mniej „Stuchowizjon”...

KSIEŃSKI: Masz rację. Nam chodziło o jakąś próbę pokazania rzeczy formalnie nowej i zresztą pod względem formalnym, to chyba udało się. Ale tekstowo... teksty były tak dobrane, że to była jakaś ucieczka od rzeczywistości. Jednak po pierwszej próbie nasz następny program będzie na pewno inny, prawda, Zbyszek?

STEPEK: W naszych planach jest założona współczesność. To chyba najważniejsze słowo.

GŁOGOWSKI: Współczesność! No tak, to jest słowo bardziej adekwatne, niż „zaangażowanie”. A co do przedstawienia „Romeo i Julia za czwartym falochronem”, — to mnie najbardziej „wziął” i moim zdaniem najważniejszy jest w tym teatrzyku — autentyczność. Stosunkowo mniejsze wrażenia wywarł sposób podania od tego, co było podane. Z tym, że wstawki z „Romeo i Julii” Szekspira nie nie wnosiły, były raczej nieporadne. Co innego zamierzona nieporadność środków wyrazu: to jakanie się, pozorne myślenie tekstu. Największa zasługa Smożewskiego w tym, że pokazał autentyczność, że udostępnił większemu ogółowi...

który choć wygasł, to jednak teatr zawodowy wiele się od tamtych teatrzyków nauczył. Ale eksperyment czysto formalny w tej chwili nie ma już sensu. Jeśli „Teatr 38” dalej coś wystawia, jest to mdłe i drętwe. Po prostu wykończyli się. Później zaangażowanie zmienia swego adresata. Forma została „zalatwiona” i teraz teatrzyki poszukujące, studenckie, angażują się w istotną rzecz, w problematykę dzisiejszych czasów. I to, co Głogowski mówił, że sam tekst dociera nie poprzez formę, ale sam tekst, sama problematyka tekstu, to dzisiaj wysuwa się właśnie na pierwszy plan. Warstwa ideowa rzeczy, które pokazuje się. To samo mają chyba na myśli w swojej działalności „Dren 59” i „Gong 7.30”: — przekazać pewne treści, wypowiedzieć się w jakiś sposób, zmusić odbiorców do dyskusji.

SUŚWIŁO: Związek treści z formą jest ścisły i gdyby sam tekst został podany w inny, a nie w taki właśnie sposób, przedstawienie „nie weźmie”. TROCHIMIUK: Ależ zgadzam się! Chodziło mi po prostu o to, że punkt ciężkości został dzisiaj przesunięty. Na przykładzie teatrzyku kieleckiego: rzecz, którą opracowywali, domagała się jakiejś specyficznej formy i oni musieli taką formę znaleźć... i znaleźli.

KSIEŃSKI: Tak, ale przeważa znacznie ładunek tego co mają do powiedzenia, treść.

TROCHIMIUK: Właśnie o to chodzi. O pokazanie czegoś, o poruszenie, no a wtedy szukamy środków wyrazu, przy pomocy których wywołamy ten ferment. Jedno z drugim się łączy.

GŁOGOWSKI: Czy nie zagalopowaliśmy się trochę, odejmując od razu treść przedsięwzięciom teatralnym „minionych lat”? Przecież STS i Bim-Bom miały coś do powiedzenia.

TROCHIMIUK: „Bim-Bom”? Kłiwie sentymentalizm. Już wolę choćby nasz lubelski „Dren 59”.

KSIEŃSKI: Narszcie wróciliśmy na własne podwórko. Ciekawe, że „Dren” zaangażował się ostatnio w program antymilitarystyczny...

KURCZAB: No cóż, to jest w tej chwili jeden z najbardziej aktualnych problemów. Narastanie konfliktów militarnych, groźba wojny — te myśli wszystkich nas nurtują, chce się je uzewnętrżnić...

KSIEŃSKI: Jest cenne, że od pewnego czasu teatrzyki angażują się w aktualną problematykę bez tego, by ktoś... popychał.

ROZHIN: Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną ważną sprawę: teatry studenckie, poszukujące, mają ten atut, że nie muszą się liczyć ciągle z publicznością, jak np. teatr zawodowy. Mogą dzięki temu, aczkolwiek powoli, przyzwyczajać niewyrobionego widza do trudniejszego repertuaru.

KURCZAB: Z tego założenia wychodzi „Dren 59” wystawiając „Krzysztofa Kolumba” Gelderode’a.

TROCHIMIUK: W tym wypadku pomogliście w pewnym sensie teatrowi zawodowemu. Wydaje mi się, że Lublin stwarza jak najlepsze perspektywy dla rozwoju teatrów studenckich. Teatr zawodowy, Teatr im. Osterwy, nie zaspokaja całkowicie publiczności lubelskiej, porusza mało problemów dzisiaj istotnych. Była próba: „Inkarano” — jakoś nie wyszło. Sądzę, że teatry studenckie nie zastępują (i nie powinny zastępować) działalności teatru zawodowego, ale uzupełniają ją.

ROZHIN: Bardzo ładnie powiedziane. Tylko właśnie ta publiczność... Dla przygotowania programu zarywamy nieraz godziny przeznaczone na naukę, albo na sen. A później odnosimy często wrażenie, że po prostu mówimy do pustej widowni.

DERECKI: Mimo wszystko dobrze się dzieje, kiedy nawet w mniej wyrobionym środowisku istnieją placówki kulturalne, które działają i trzymają się swojej linii postępowania, stanowią „ogniska zarazy”. I chociaż można być niezrozumianym i rozgoryczonym, naprawdę źle jest dopiero wtedy, kiedy robi się takie przedstawienia, na których to mniej wyrobiona publiczność bez przerwy bije brawo.

STEPEK: Czyli doszliśmy do trochę innej płaszczyzny: do społecznego oddziaływania tego ruchu studenckiego. Z tym wiąże się bardzo ważne zagadnienie. Mówiliśmy o lubelskich teatrzykach studenckich. Warto, żeby ich przedstawienia oglądali nie tylko studenci, ale jak najwięcej niestudentów, mieszkańców naszego miasta.

KSIEŃSKI: Ale jak to zrealizować, kiedy duża część luminaryz kulturalnych Lublina (choć i tak jest już pod tym względem inna sytuacja niż np. przed dwoma laty) odnosi się do tych teatrzyków... z odrobiną lekceważenia. Chyba tak jest, prawda?

GŁOGOWSKI: Trochę chyba tak. KURCZAB: Nnno... tak.

Piękno — ale dla kogo?

(Dokończenie ze str. 7)

niła grupę absolutnie wyższych szkół plastycznych. Nie są to więc jakieś przypadkowe kontakty z artystami, lecz stała i systematyczna współpraca.

Przykład świebodzicki nie jest jeszcze u nas — niestety — zbyt typowy. I stąd cała bieda.

Nie zdaje sobie sprawy z istoty zagadnienia znaczna liczba terenowych działaczy kulturalnych. Rozmawiałem z nimi o tych sprawach w niektórych powiatach Dolnego Śląska, Wybrzeża, a nawet kulturalnej Wielkopolski. Okazuje się, iż nie zastanawiali się nigdy nad tym, że wszystkie otaczające nas kształty z uporem, cierpliwie urabiają gusty ludzkie. „Cóż mnie to w końcu obchodził — mówił kierownik życia kulturalnego w wielkopolskim powiecie — jak wyglądają meble w

biurze czy klubie. To są meble robocze i koniec na tym. A dekoracja miasteczka z okazji świąt narodowych? No cóż, transparenty, portrety, flagi. Nic prostszego. Plastyka — to wystawy, coś jakby od święta” — dodał głupio i z zadufaniem.

Tak. A brzydota tymczasem kwitnie wokół nas na całego. Bo i jakże może być inaczej w takiej sytuacji? Warto na tym miejscu zaprezentować przykład z Rzeszowa. Miasto to, niegdyś obskurne i cuchnące, prowincjonalne i hen-zagubione, w ostatnich latach staje się prawdziwą stolicą ważnego dla kraju województwa — mocno uprzemysłowionego i szybko rozwijającego się. Ale większość miasteczek Rzeszowszczyzny to nadal podrapywane dziury, gdzie atmosfera z „Porwania Sabinek” towarzyszy wszystkim prowincjonalnym kompleksom. „Postanowiliśmy — opowiadał mi w Komitecie Wojewódzkim Partii w Rzeszowie — upiększyć te nasze miasteczka. Niech wyglądem swym oddziałują na mieszkańców. Zaczynamy skromnie, ale konkretnie. Od świątecznych dekoracji mianowicie.”

Wiemy wszyscy, jak to przeważnie wygląda. Dekoracje te są bez żadnej kompozycji, bez artystycznych projektów, którym byłaby podporządkowana całość. Nikt nie myśli w tych wypadkach o urbanistycznym kształcie dekorowanego miasteczka, o jego architekturze. Rzeszowscy działacze przedstawili tę sprawę swoim plastynom. Chodzi teraz tylko o to, by artystyczne projekty dekoracji miasteczek stały się istotnym faktem. Mielimy nadzieję, że rzeszowscy plastycy podejmą myśl działaczy politycznych. Jest ich spore środowisko. Potrafili już wiele zrobić dla upiększenia swego miasta. Warto mieć nadzieję, że przedstawia oni swoje propozycje, dotyczące upiększenia całego regionu.

Każda sensowna próba w tej dziedzinie jest ważna i godna poparcia. Wiele bowiem pozostaje tu do zrobienia. Ogłoszono np. przez Centralną Komisję Koordynacji Kultury w roku 1961 dwuletni program upowszechnienia plastyki — ważny zwłaszcza dla małych ośrodków — wykażal, jak wielkie są tu zaniedbania. Placówki k.o., takie jak świetlice, kluby, ognis-

ka kulturalne, które winny były być podmiotem działania, często w ogóle całą tą akcją zgola nie zainteresowały się. Nie zawsze dlatego, że ich kierownictwa nie mają na to środków czy ochoty. Często w ogóle nie wiedzą, o co w całej sprawie chodzi.

Piękno na co dzień nie należy do codziennych trosk terenowych działaczy. To pewne. Czas jednak najwyższy, żeby sytuacja się zmieniła. Czas najwyższy, żeby odpowiedni ludzie pomyśleli, że w dziedzinie upowszechnienia piękna na co dzień, należy w wielu środowiskach, w wielu regionach naszego kraju, w wsi, w miasteczkach i w miastach nawet, zacząć po prostu od początku. Warto pamiętać, że w tej dziedzinie godna poparcia jest cała mnogość najrozmaitszych form, propozycji, pomysłów. To są kroki, które wiedzą do dobrego smaku.

Niech nawet będą to kroki małe, lecz odmierzone z rozważą.

Bolesław Bartoszewicz

BAJU, BAJU NA WYSTAWIE

WŁODZIMIERZ
CHELMICKI

KRYTYKOMAN: W każdej sztuce najważniejsze to siła i prawda wyrazu.

OPTYMISTA: Masz rację.

K: Nie mówiąc o dobrym rzemiośle...

O: Masz rację.

K: A kiedy nie mam racji?

O: Stale.

K: ?
O: Głosisz piękne zasady, ale powodujesz się czym innym.

K: Nie zawsze!

O: Krytykujesz z wewnętrznej potrzeby, nie z chęci naprawy. Tnieś jak osa, bo masz naturę osy. Uśmiercasz, ale nie pobudzasz.

K: A ty?

O: Staram się być sprawiedliwy.

K: Wole zρέcznego dyplomate, niż „sprawiedliwego” prawdomówcę.

Pierwszy musi być inteligentny... Ale mówmy o obrazach. Co widzisz dobrego na ostatniej wystawie lubelskich plastyków, sprawiedliwy człowieku?

O: Nadulski daje syntezę. Słusznie kierownik wydziału kultury wytycza drogę, którą winno kroczyć malarstwo. Trudną drogę, bo tu nie tylko trzeba dobrze widać pedzłem, ale i wnikać w istotę rzeczy.

K: Czy są i inni, którzy dają syntezę?

O: Na razie on jeden. Ale jest wielu, którzy dążą do syntezy.

K: Którzy?... Kononowicz i Filipiak?... Który lepszy?

O: Kononowicz w swej poprzedniej fazie zdradzał ogromny niepokój. Van Goghem też mიაոiał szaleńców niepokoi, ale w malarstwie zawsze potrafił się z nim uporać. Kononowicz obecnie znacznie się uspokoił, opanował, zharmonizował. Jest świetny i działa kojąco. Filipiak ma bardzo duży talent i temperament. Jest bardzo pracowity. Gdyby miał tak silną indywidualność jak Kononowicz, to stojąc przed niektórymi jego obrazami kto wie, czy nie popełniłbym nieprawdliwości, stawiając je niżej od niektórych prac Kononowicza.

K: Czy nie za śmiało o człowieku, któremu przyznajesz wielki temperament?

O: Tyle razy na ulicach Lublina wywróciłem się zawsze wychodząc cało!



ZOFIA KIEŁŃSKA — PEJZAŻ (OLEJ)

K: Czy obok tych dwóch wybitnych wymienisz nikogo?

O: Są tacy, którzy zbliżają się do tamtych. Nazwisk ich nie wymieniam, bo po co? Sami wiedzą. A nie chciałbym, żeby syci sławy spoczęli na laurach.

K: Co jednak powiesz o innych malarzach?

O: Malarzy dzielę na 3 kategorie. Do pierwszej zaliczam tych, których obrazy pragnąłbym posiadać. Pokutuje we mnie mentalność posiadacza. Do drugiej kategorii zaliczam tych, których obrazy pragnąłbym zdobyć dla moich przyjaciół. Do trzeciej — tych, których obrazami pragnąłbym obdarować mych nieprzyjaciół.

K: Którzy są ci ostatni?

O: Wiedziałem, że tak powiesz. Nie ma takich na wystawie.

K: Boisz się narazić?

O: Uważam, że trud artystów, którzy chcą dać coś z siebie na poziomie, jest tak wielki, że trzeba odnosić się do ich pracy z wielką życzliwością i ostrożnością. Trzeba pamiętać, że artysta jest przewrażliwiony, łatwo go zrazić! Słowik milknie, kiedy poczuje wroga.

K: Wymień choć kilka nazwisk i powiedz coś o ich malarstwie.

O: Albo o wszystkich, albo o nikim (z wyjątkiem tych, których nazwiska zostały wymienione). Nie jestem krytykiem „przysięgłym”. Jestem ot takimi sobie... hulajduszą. Na wystawie są plótka dobrych malarzy. Po co ujawniać nazwiska? W sztuce są wzloty i upadki. Plastycy są przemęczeni pracą zarobkową. Znać to na ich obrazach, ale czy można ich za to winić — czy można mierzyć równą miarą z malarzami poświęcającymi cały czas tylko malarstwu. Czy można kogoś winić za to, że z powodu okoliczności życiowych pękła mu jakaś struna w duszy? Są tacy, jeden starszy, drugi młodszy, którzy w jednym pokazanym obrazie błysnęli talentem. Jest sympatyczna malarka, która choć nie dąży do syntezy, to wciąż się ulepsza i odmienia. Jest plastyk już nie pierwszej młodości, który przeszedł „kurację” abstrakcyjną zyskał wiele.

K: Do grafiki odnosisz się jak do uboższego krewnego?

O: Przyznaję, że jestem bardzo uczulony na kolor i nie mogę darować grafikom ich abstynencji pod tym

względem. Na wystawie na pewno jest dużo dobrych prac graficznych ale... zachwyca mnie Podciechowski, nieobecny na tej wystawie. Wymieniam go, bo moim zdaniem, jego twórczość powinna służyć innym za drogowskaz. Tyle jest odcieni w jego pracach, że upodabnia się do dobrych kolorystów. I ta jego miękkość...

K: Kiedy ciebie słucham, przychodzi mi na myśl wierszyk Reymonta: „Baju, baju, chłop śliwy rwie, a ich jeno dwie...”

O: Nno! Nareszcie! Myślałem już, że zamieniliśmy się rolami, nie tylko pytasz i pytasz. Ale wylazło w końcu z ciebie krytykanctwo.

K: Trudno, muszę przecie dojść do głosu.

O: To może następnym razem.

K: Aha! Może w maju, może w grudniu...

P. S. Napisałem ten felieton odpowiadając na apel Kononowicza, również świetnego kpiarza, co malarza. Powiedział mi kiedyś: „Piszcie o nas jak najwięcej, obojętne — mądrze czy głupio, bo to wasze pisanie jest nam potrzebne...”

Fotografika Zbigniewa Zugaja

RETROSPEKTYWNA wystawa fotografiki Zbigniewa Zugaja otwarta w Wojewódzkim Ośrodku Propagandy Partynalnej przy Krakowskim Przedmieściu cieszy się powodzeniem, jak sądzę — uzasadnionym.

Cechą dominującą ekspozycji jest różnorodność tematyczna i formalna, mieszcząca się między realizacjami o charakterze realistyczno-malarskim i pracami na pograniczu abstrakcji czy też surrealizmu („Kompozycja z jedną świeczką”). Należy jednak podkreślić, że Zugaj nie rezygnuje z zasadniczej funkcji współczesnej fotografii artystycznej — z reportażu. Jeżeli impresjonistyczny „Pejzaż pod Szynielnią” i z 1956 roku „Mostek” wykazują tendencje do malarstwa, to fotogramy „Potok”, „Kwiat zimy” i „Kwiat I” są przykładami wyzyskania struktur świata przyrody w celu stworzenia prawie abstrakcyjnych kompozycji o silnym natchnieniu waloru. Pełne dynamicznego ruchu „Wysięgi samochodowo-motocyklowe” (1960) i ciekawy plastyczny układ form „Przed startem” przedstawiają natchnioną emocją chwilę, ujęte przy pomocy reporterskiej syntezy.

Dobłą reprezentacją wartości plastycznych i ludzkiej psychiki jest „Autoportret” oraz kompozycja „Na wystawie”, będąca zbiorowym portretem dzieci zafascynowanych zabawką.

Obserwując twórczość Zugaja zauważyć można kierunek rozwojowy prowadzący do wzbogacenia wartości plastycznych, u podłoża których leży obserwacja świata obiektywnego. Pierwszym znakiem większego zainteresowania formą zdaje się być „Sylwetka” (1956), prowadząca do rozwiązań witkowych w „Polach na Roztoczu” (1957), docznych w „Przystani”, „Czterech plus jeden” oraz w „Modelkach i sukienkach”.

Kończąc, chcę wskazać na równowagę tendencji reporterskiej i plastycznej w fotografiki Zugaja. „Podglądanie” świata ze wszystkich dostępnych stron, wydobywanie z ukrycia rzeczy na pozór powszednich — to największa zaleta wspomnianych prac, to znamie ich wartości.

I. K.

TOURS sławne było w Polsce do niedawna ze swej gotyckiej katedry i jako miasto rodzinne Balzaca. A teraz piękne, stare Tours trafiło do historii rozwoju polskiej kinematografii. Bowiem na zakończonym niedawno międzynarodowym festiwalu filmów krótkometrażowych (z udziałem wyselekcjonowanych uprzednio 64 filmów, w tym 10 — francuskich) Polska zdobyła Grand Prix oraz jedną z czterech II nagród, a więc w sumie dwie spośród pięciu wszystkich nagród festiwalu! Dwa dalsze filmy polskie były wymieniane przez jury jako najważniejsi kandydaci do pozostałych II nagród i dyskutowano gorąco także w aspekcie specjalnej nagrody krytyki filmowej, a jeszcze inny — „zaszczytnie zaproszony” do wyświetlenia. Z sukcesami u jury szło w parze wielkie powodzenie u fachowej krytyki i u publiczności. Jednym słowem — victoria!

Systematyczne oglądanie w Polsce krótkiego metrażu — rzecz nie tak łatwa. Trzeba naprawdę sporego wysiłku, aby orientować się na bieżąco w aktualnej produkcji. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że niżej podpisany widział wszystkie polskie filmy nagrodzone w Tours. O każdym nie tylko pragnie, ale i może powiedzieć słów parę.

TROCHE FILOZOFII I DUZO MUZYKI

A więc — owe Grand Prix zdobył film Romana Polańskiego „Ssaki” (przypominam, że Polański jest autorem nagradzanej wielokrotnie za granicą krótkometrażówki „Dwa ludzie z szafą” oraz filmu fabularnego „Nóż w wodzie”, cieszącego się większym uznaniem u obcych, niż u swoich. Wiadomo — być prorokiem itd.).

„Ssaki”, film utrzymany konsekwentnie w stylu groteski, atakuje widza łatwo czytelną metaforą o dwóch takich, co usiłowali wykorzystać za

GAWĘDY O FILMIE POLSKIM

W TOURS I GDZIE INDZIEJ

wszelką cenę jeden drugiego, ułatwić sobie życie kosztem bliźniego... Na bezbrzeżnym polu śniegowym wycierają różne esy-floresy z saneczkami dwa niby to kamraci, przy czym rzecz polega na tym: komu z nas uda się usiąść na saneczkach, ciągniętych przez tego drugiego? Znacze hasło: „Śmierć traierom?”

Sytuacja zmienia się co chwila. Polański wprowadza mnóstwo zabawnych, niekiedy wprost świetnych, gagów. Całość jest doskonale wyważona w efektach, oglądamy coraz bardziej szalęńczy galop dwóch ludzi, w takt mądrze dowcipnej muzyki Komedii.

Kazimierz Karabasz jest znany przede wszystkim jako twórca „Muzykantów” — także wielokrotnego laureata międzynarodowych festiwalu. Do wyżyn „Muzykantów” film „Pierwszy krok” nie wznosił się jednak, chociaż zdobył II nagrodę w Tours. Film nie ma zwartości, nie ma bezbłędnej kompozycji tamtego, rozpada się na szereg epizodów, pewne sekwencje trochę się widzowi dłużej — Zalei — wiele. Karabasz i tutaj potrafił operować czujną na przejawy ludzkiego charakteru kamerą. Jest mocno zaznaczona sympatia do dziecka — rzecz raczej w Polsce nie nowa. Ale są również elementy subtelnej humoru, Karabasz z jakąś wielką tkliwością patrzy na małego człowieka, ucznia szkoły muzycznej, uczy nas szacunku dla jego talentu i — pracy.

ZART, SATYRA I GŁĘBSZE ZNACZENIE

Wreszcie — owe trzy filmy „zauważone” i dyskutowane. „Labirynt” Jana Lenicy powtarza (czy nie za

dużo powtarzania?) znane z jego poprzednich filmów („Pan głowa” — także nagroda w Tours AD 1961 oraz „Nowy Janko Muzykant”) efekty ożywiania fragmentów ogłoszeń, reklam handlowych, innych okropnych w swym graficznym kształcie relikwów schyłku XIX wieku (analogia z twórczością Zemana). Wyciągnięte prosto z kart „Tygodnika Ilustrowanego”, służą Lenicy do zawsze bezlitosnego aczkolwiek niekiedy trochę niezrozumiałego dla widza kinowego wyszydzenia tradycji, ambicji, ciągłotek „strasznych mieszczanina”. Tak, tego tuwimowskiego, trącającego pustym łbem stojący pod łożkiem nocnik.

Janusz Majewski daje w swym „Szpitalu” nową u nas w stylu burleskę surrealistyczną. Leżący na szpitalnym łożu pacjent jest uznany przez lekarza za człowieka zdrowego. Czemu więc widzi w swej izolacie obcych ludzi w dziwnych sytuacjach, czemu powraca natrętnie postać kolejarza? Film zrobiony z dużym polem oglądamy z nieślabnącym zainteresowaniem, ale trochę się wstydzimy, że nie potrafimy sobie uprzytomnić myśli autora. Coś nam chciał powiedzieć, ale co?

I jeszcze „zaszczytnie zaproszony” „Maszyna” Daniela Szezechury. To żart rysunkowy: małe ludziki montują mozolnie niezmiernie wielką i skomplikowaną maszynę. Zjawiają się części coraz większe, cięższe; wyrastają kolosalne krany i tryby. Pointa — świetnie rozebrana: ten przemysłowy mastodont służy do... temperowania

(Dokończenie na str. 14)

M I Ę D Z Y W I E R S Z A M I

Zdać sprawę z polemiki, jaką wywołała w prasie książka Zbigniewa Załuskiego „Siedem polskich grzechów głównych” — to zadanie prawie niewykonalne. Trwa ona już parę miesięcy i jak dotąd wcale nie wygasa, przeciwnie. Przypomnijmy więc najważniejsze fakty:

Załuski napisał książkę, której cele tak określił: „Chcę trochę pobronić naszej historii, naszej historii romantycznej, trudnej, młodzieńczo „górnicy i chmurnej”, ale na pewno wcale nie durnej”. I jeszcze: „W „Siedmiu polskich grzechach głównych” starałem się przedstawić, jak to było naprawdę z rozlicznymi domniemanymi polskimi szaleństwami patriotycznymi. Starałem się zbitki myślowe w rodzaju „samosięrczysty” sprowadzić z oboków wielkiej debaty o sensie polskiej historii i naszym spaczonym charakterze narodowym na grunt realny, na grunt tych historycznych faktów, które te pojęcia rzekomo zrodziły”.

Książka napisana z pasją i temperamentem, posługująca się materiałem z literatury, publicystyki, a nawet kabaretu, wymierzona była przeciw nurtowi „antybohaterczyzny”. Załuski dawał sugestie wychowawcze, podsuwał wzorce bohatera romantycznego. W polemice, jaką Załuski wywołał, warto wspomnieć trzy wystąpienia: D. Horodyski (Nowa Kultura), „Galop pana pulkownika”, K. Koźniewski („Grzech ósmy — bezkrytyczny” (Polityka); „Jej tezy z gruntu są niesłuszne, postulaty niebezpieczne” oraz: „Bekrytyczne uwielbienie historii własnego narodu — i politycznej i militarnej — to prosta droga do wychowania nacjonalistycznego i szowinistycznego”. W Nowej Kulturze przeciwstawiał się tezom książki rzeczowo i z należytą argumentacją J. Wilhelm.

Ale to przeszłość. W dalszym biegu dyskusja zagubiła kierunek, zatarły się racje polemistów, argumenty zostały wyczerpane. Dyskusja przybrała postać wolnoamerykańki — jak to określa A. Wyszniacka w Polityce. Argumentację wyparły inwektywy. Do istoty sporu powraca w kolejnych numerach Przegląd Kulturalny. K. T. Toeplitz (Tradycja za tradycją) wskazuje na demagogiczny charakter książki Załuskiego, na anachroniczność przedmiotu sporu, podkreśla fałszywość propozycji „wzoru żołnierza”, co jest już wykrzywieniem myśli Załuskiego. W ostatnim numerze P. K. A. Kijowski w artykule pod znamennym tytułem „Pokońmy się ideom martwym” zauważa, iż dyskusje wokół książki Załuskiego „sprowadzają się ostatecznie do problemu nacjonalizmu polskiego, to jest ideologii, która była siłą motoryczną życia narodowego. W jakim momencie nacjonalizm utracił znaczenie i autorytet, co więcej, zaczęto terminem tym oraz wszystkimi skojarzeniami, jakie budzi, posługiwać się w ujemnym sensie. Kiedy to się stało?” Kijowski dowodzi, że polskie ciągoty ku powstańcemu zrywom nie są jedynie naszą właściwością, nie świadczą o jakiejś anormalności. Większość narodów europejskich w XIX wieku na drodze powstań, dłuższych i krwawszych niż polskie, walczyły o wolność. Oto konkluzja Kijowskiego: „Naród polski, jeden z wielu „narodów romantycznych”, spełniał wówczas swe zadania cywilizacyjne, podejmując beznadziejną walkę, podając się masakrom i represjom. Mieć dzisiaj pretensje do Polaków, Greków, Serbów, Włochów, że nie szanowali swego życia, znaczyłoby to samo, co zarzucać barbarzyńcom germańskim, iż podbili Rzym, albo Rzymianom, iż barbarzyńcom ulegli”.

No i słowo oskarżonego, zapewne nie ostatnie. W Nowej Kulturze Załuski przystępuje do repliki, podejmując polemikę z K. Koźniewskim w pierwszej części artykułu „Istota sporu i sprawy uboczne”. Zacytujmy fragment: „Nie eboż mi (...) o bohaterstwo stricte wojenne, patriotyzm zbrojny”. Chodzi mi o to coś, czego przejawem było owo bohaterstwo: gotowość do działania w imię wyższych

celów, poczucie obowiązku jednostki wobec społeczeństwa. Sądzę, że postawa taka zachowuje swój walor moralny niezależnie od tego czy staniemy kiedykolwiek wobec wojennego egzaminu z uczuć społecznych, czy też nie”. Na to chyba wszyscy polemicy mogą się zgodzić. Z całego artykułu wynika jednak, że atakowany obstaje przy swoim. Czekajmy więc na dalszy ciąg repliki.

W Nowej Kulturze warto przeczytać wypowiedzi A. Sterna, J. Przybosia i P. Hertza o poezji dwudziestolecia (z okazji wydanej antologii Matuszewskiego i Pollaka). W Polityce zwraca uwagę rzecz D. Fikusa i J. Rolickiego „Służbowo za granicę” oraz podsumowanie i zamknięcie głosnej dyskusji o feudalach i wasalach „Absolutyzm — tak, ale oświecony” M. Turskiego i J. Urbana — inicjatora dyskusji.

Polityka i Nowa Kultura przypominają też o pierwszej rocznicy śmierci Władysława Broniewskiego.

T. K.

Kronika kulturalna 4 województw

(Dokończenie ze str. 2)

W PALACU ŁANCUCKIM otwarto w jednej z sal klub Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. Organizacja ta posiada w województwie 6.100 członków w 110 klubach.

LAMPY NAFTOWE ZNIKNA w tym roku w 6.625 zagrodach województwa. Na ich elektryfikację przeznaczono 70 mln zł, z czego czwartą część otrzymała rejon Bieleszcz.

230 TYSIĘCY OSÓB wystąpiło w roku ub. ponad 1 tysięcy odczytów zorganizowanych przez TWP. Największą popularnością cieszy się historia.

KONKURS ZAMKNIĘTY NA TEKĘ 10 prac ogłosił Wydział Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie. Temat: Rzeszów w grafice i rysunku, konwencja realistyczna. Prace mają być wydane w formie albumu lub pocztówek.

DOM KULTURY W RYMANOWIE-ZDRÓJU został wybudowany wspólnym wysiłkiem społecznym oraz dzięki dotacji PRN w Sanoku. Posiada on m. in. salę kinową, bibliotekę i kawiarnię.

SEMINARIUM DOKTORANCKIE dla magistrów inżynierów ma być zorganizowane w Rzeszowie przy pomocy Politechniki Krakowskiej.

WYSTAWĘ REPRODUKUCJI dzieł malarzy radzieckich, poświęconych Armii Radzieckiej, przygotowuje rzeszowski TPPR. Warto, aby wystawa objechała teren.

ODDZIAŁ POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO prowadzi systematycznie cykl odczytów o historii miasta Rzeszowa.

MŁODZIEŻOWY DOM OSWIATY kosztem 11 mln zł, zebranych w czynnie społecznym, wybuduje ZMW we wsi Zalesie (1 km od Rzeszowa). Objęcie on m. in. salę teatralną i kinową, bibliotekę, pokoje klubowe, internat na 120 miejsc.

LUBLIN

„ROMEO I JULIA ZA CZWARTYM FAŁCHRONEM” to tytuł nowego, trzeciego z kolei programu, z którym wystąpił w Lublinie kielecki teatrzyk dziennikarzy i

W Tours i gdzie indziej

(Dokończenie ze str. 13)

ołówków! Film trafia prosto w działkę.

PRACOWITE LALECKI

Jak ten czas leci! Mincio w grudniu lat piętnaście od chwili wejścia na ekrany pierwszego polskiego filmu lalkowego. Pionierem był tutaj, nadal twórczo pracujący, reżyser Zenon Wasilewski ze swym pierworodnym, filmem „Za króla Krakusa”. A potem — poszło i idzie wcale, wcale...

W roku 1961 dawne Studio Filmów Lalkowych w Tuszyńcu przekształciło się w Studio Małych Form Filmowych „Se-Ma-For” w Łodzi. Powiększono, unowocześniono bazę techniczną, wychowano liczną kadrę twórczą i wykonawczą. Studio łódzkie produkuje obecnie nie tylko filmy lalkowe, lecz również — rysunkowe, wycinankowe, kombinowane, a nawet — krótko i średniometrażowe filmy aktorskie (fabularne bądź fabularyzowane). Te ostatnie — z myślą o naszej dychawicznej telewizji.

Cyfry? 108 filmów lalkowych (nie licząc dalszych 21 tytułów Studia Miniatur Filmowych z Warszawy), 20 nagród zagranicznych i wiele krajowych, 46 nazwisk reżyserów, 78 — scenarzystów (z Brzechwą, Chotomską, St. R. Dobrowolskim), 28 — operatorów, 41 — scenografów, 28 — kompozytorów (m. in. Baciewiczówna, Czyż, Hadyna, Komeda, Kotoński, Markowski, Penderecki, Turski, Wisłocki...)

Towarzystwo i liczne, i bardzo znakomite.

EMBRION FESTIWALU

Filmy o sztuce o sztukach plastycznych, uzupełnione przez kilka barw-

nych igraszek filmowych abstrakcyjnych — nie stanowią, jak np. filmy lalkowe, wyodrębnionej grupy. Okazuje się jednak w praktyce, że jest ich niemało, skoro ruchliwa dyrekcja Muzeum Narodowego w Warszawie, działając w „ramach akcji pn. „Muzea — uniwersytetami kultury”, po dobraniu ok. 40 tytułów krótkometrażówek polskich i kilkunastu — zagranicznych, zorganizowała w swej salce kinowej w „Tydzień filmów o sztuce” (w dniach 15—21 grudnia ub. r.).

Piszemy — „embrion festiwalu” gdyż po pierwsze: Muzeum warszawskie projektuje urządzenie w bliskiej przyszłości prawdziwego festiwalu międzynarodowego filmów o sztuce (odbywającego się później w odstępach 2—3 lat); a po drugie: warunki techniczne projekcji były raczej skromne...

Niemniej pokazy wzbudziły znaczne zainteresowanie. Inicjatywe uznajemy za udaną. Czekamy na jej dalszy rozwój.

Ciekawostka: w repertuarze „Tygodnia” znalazła się jedna „sierotka” — pozycja lubelska, film pt. „Zamość — ennesanowy”, prod. Wytwórni Filmów Oświatowych. Czyżby całe bogactwo opracowań filmowych sztuki lubelskiej?

Tak źle nie jest. Dowodem „Sybilla Pulawska” Aleksandry Jaskólskiej, „Kazimierz — miasto polskiego renesansu” Tadeusza Jaworskiego, „Lubelska Starówka” Bohdana Koscińskiego. Rzucamy parę tytułów z pamięci. Warto o nich i o innych jeszcze pamiętać i we właściwym czasie — przypomnieć odpowiednim czynnikiem! —

Jerzy Kuryluk

aktorów, pod kierownictwem artystycznym Ryszarda Smożewskiego.

W KAWIARNI PSC członek Lubelskiego Oddziału ZLP, Adolf Lekki odczytał na swym wieczorze autorskim fragmenty nowej powieści pt. „Ja”, która wkrótce ukaze się na rynku księgarskim.

W KLUBIE MPIK, lektor KC PZPR i kierownik Zakładu Filozofii Społecznej przy UMCS, dr Jan Guranowski, wygłosił odczyt „Wolter a religia”.

W DZIELNICOWYM DOMU KULTURY na ZOR Zachód czynna jest wystawa malarstwa Aleksandry Wachniewskiej „Roztocze w pejzażu”.

ILUSTRACJE MUZYCZNA do nieznanego „Poematu” Józefa Czechowicza opracował ostatnio lubelski kompozytor prof. Aleksander Bryk. Czołose, tj. tekst i nuty, wyjdą wkrótce w druku, nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

„MATISSE I FOWISCI” to tytuł kolejnej prelekcji mgr Jerzego Ludwińskiego w ramach cyklu „ABC malarstwa” w Klubie Studenckiego Domu Usługowego.

W SETNĄ ROCZNICĘ POWSTANIA STYCZNIOWEGO otwarto w salach CBWA wystawę związanych z nim materiałów archiwalnych, oryginalnych i fotokopii, ze zbiorów lubelskich i Archiwum Głównego

Akt Dawnych w Warszawie. Wystawę poświęconą powstaniu styczniowemu otwarto także w Bibliotece im. H. Łopacińskiego. Na wystawie znajdują się dokumenty, publikacje prasowe i książki.

W KLUBIE LDK „ZAMEK”, odbyła się prelekcja mgr Tadeusza Klaka pt. „Magia poetycka Czechowicza”.

Z OKAZJI WYDANIA SETNEJ POZYCJI przez Wydawnictwo Lubelskie, otwarto w Klubie MPIK wystawę książek Wydawnictwa. Otwarcia wystawy dokonał sekretarz KW PZPR Stanisław Zgrzywa.

NA WYSTAWIE FOTOGRAFICZNEJ otwartej w Klubie LSM eksponują swoje prace Janusz Czapski, Jan Męgliński, Wiesław Michoński, Stanisław Pastusiak, Andrzej Polakowski, Waldemar Stepien i Marian Żelaznicki.

W KLUBIE LDK „ZAMEK”, otwarta została wystawa malarstwa Andrzeja Jedliczki. Jest to kolejna, po wystawie grafiki Zofii i Henryka Sulców, ekspozycja jednego z nowo przybyłych do lubelskiego środowiska plastycznego, absolwenta ASP.

BUDOWA gmachu Rozgłośni Radłowej w Lublinie, mimo początkowych trudności natury formalnej, trwa, są szanse, że z wyjątkiem dużego studia, budynek będzie wykonany w tym roku.

